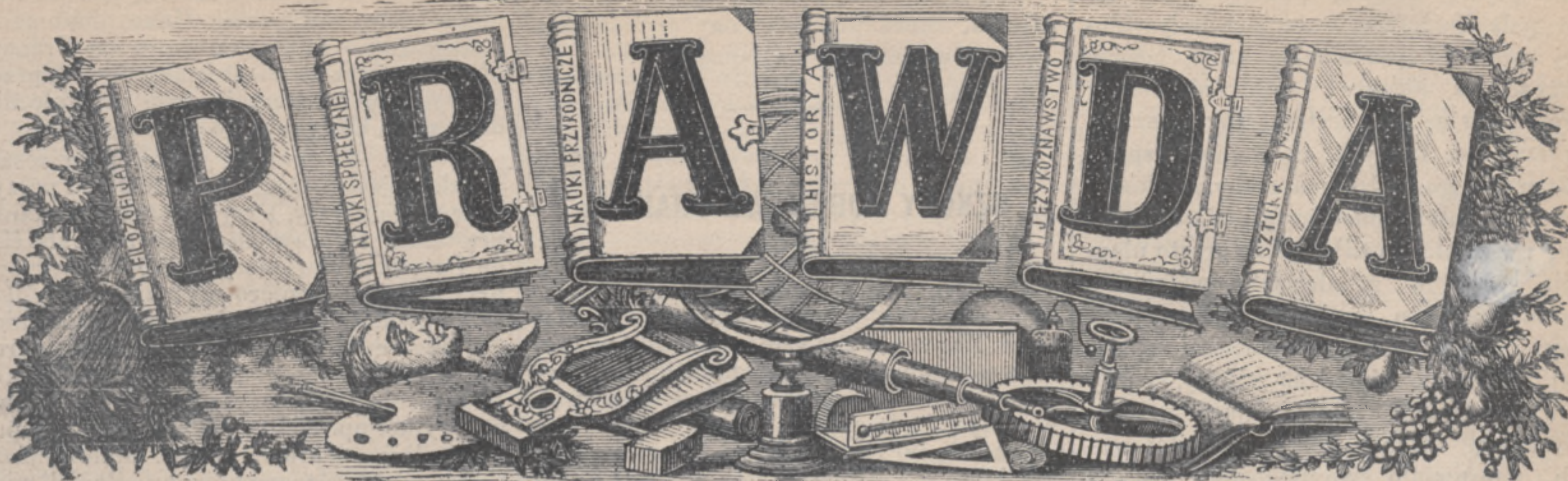
№ 23. Warszawa, dnia 7 Czerwca (26 Maja) 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału ponawiamy naszą prośbę o wczesne nadsyłanie prenumeraty, o ile można, bezpośrednio do administracyi **Prawdy**.

Od 8 lipca Redakcya i Administracya PRAWDY mieścić się będą w domu przy ulicy Zielnej nr. 7-a.

USTĘPSTWA DOBROWOLNE.

I.

(Prawo do pracy).

Kilka wyrazów ks. Bismarka wystarcza, ażeby pół Europy zmieniło przedmiot swych rozmów i ażeby natychmiast powstała bogata w pewnej sprawie literatura. Niedawno w parlamencie — może nawet z niedostateczną świadomością skutków — ogłosił on „prawo do pracy“—i oto całe dziennikarstwo europejskie wyłamuje sobie zęby nad tym orzechem a ekonomiści występują z broszurami i książkami. Już w n-rze 20 *Prawdy* zapisaliśmy tę śmiałą zasadę kanclerza niemieckiego, obecnie, na podstawie świeżo wydanej rozprawy F. Stöpela*), przedstawimy jej uzasadnienie naukowe, o tyle godne poznania, że owo hasło odbija się w życiu każdego narodu.

Naprzód kilka wyjaśnień historycznych. Prawo do pracy ogłosiła po raz pierwszy wyraźnie Rewolucya francuska w konstytucyi z r. 1791, obok poszanowania własności. Później Robespierre podniósł ten obowiązek społeczeństwa. Konstytucya z r. 1793 powtórzyła go również — ale słowo ciałem się nie stało. Dziwną koleją losu dziedzictwo rewolucyi przeszło na pruskie prawo krajowe (Landrecht), którem w swej mowie wsparł się ks. Bismark. W socyalistycznych ruchach Francyi trzeciego i czwartego dziesiątka obecnego wieku owa idea wynurza się ustawicznie; jako godło popularne wszakże występuje w rewolucyi lutowej (1848), kiedy z natchnienia L. Blanca urządzono dość karykaturalne „warstaty narodowe,“ które wkrótce upadły wraz z przywódcami socyalizmu. Projekt konstytucyi (20 czerwca) wskrzesił znowu prawo do pracy, ale przeniósł je w sferę dobroczynności. Zresztą odnośny paragraf pozostał martwą literą. Prąd ten odbił się później w pierwszym parlamencie niemieckim, ale praktycznych rezultatów nie wydał. I o to ks. Bismark, lubiący nieraz wyciągać stare sztandary rewolucyjne dla podszycia nimi dyktatorskiego płaszcza, rozwinął jeden z nich przed kilku tygodniami.

Rozpatrzmy samą sprawę.

Dzisiejszy robotnik — powiada Stöpel— zależny jest od woli pracodawcy. Istnieje wprawdzie pewien grunt neutralny (np. drobne rzemiosła, najem itd.), na którym on poniekąd może zachować swoją niepodległość. ale przemysł, rolnictwo i handel w wielkiem zakresie dają robotnikowi zajęcie tylko wtedy, gdy on przynosi zysk przedsiębiorcy, którego interes reguluje produkcyę. Jeżeli skutkiem współzawodnictwa korzyść kapitalisty spada do pewnej miary, zniża on płacę roboczą; gdy zaś owo spadanie posunie się bardzo daleko — ogranicza wytwórczość. W tem błędnem kole porusza się współczesna produkcya. Zawisłość bytu robotników od zysku przedsiębiorców wytwarza dla pierwszych niepewne położenie, z którego wynikają straszne klęski społeczne. Niska płaca, nie wystarczająca na utrzymanie rodziny, chociaż wywołuje wstrząśnienia, pozwala jednak spokojniejszym żywiołom nędznie żyć; ale zupełny jej brak staje się przyczyną rozpaczy, zbrodni i rozruchów — a także znacznego (skutkiem niedostatku mas) zmniejszenia się spożywczości ogólnej, która jeszcze bardziej produkcyę ścieśnia (biedni mniej jedzą, mniej się ubierają itd.). Nikt nie zaprzeczy, że połączenie się ludzi w społeczeństwo musi mieć za cel umożliwienie życia *wszystkim*. Natura nie ofiarowała swych darów wyłącznie żadnej klasie, żadnemu stanowi. Prawo własności musi być tylko prawem pracy do użytkowania z jej owoców. Tymczasem jakże się obecnie dzieje? Praca, będąca jedyną twórczynią własności, jest jej służącą; pierwszą społeczeństwo osłania wszystkiemi swojemi ustawami, o drugą nie dba i co najwyżej jej los łagodzi jałmużną. „Interes posiadaczów rozstrzyga w najwyższej instancyi o zakresie, w jakim praca nieposiadających ma być zużytkowaną. Innemi słowy: tylko posiadacz ma prawo do życia; nieposiadacz—nie, albo o tyle tylko, o ile na nim korzysta pierwszy.“ Dopóki praca skutecznie ubezpieczona była osłoną własności, własność ta wystarczała dla społeczeństwa. Ale gdy w rozwoju stosunków wola i zdolności do pracy nie są dostatecznemi dla utrzymania się jednostki i wypełnienia przez nią obowiązków względem ogółu, nadeszła pora zaopiekowania się pracującymi. Czy z uznania tej potrzeby prowadzi droga wprost do rewolucyi? Bynajmniej— odpowiada Stöpel. Gwałtowny przewrot *stosunków*, niepoprzedzony zmianą *przekonań*, sprowadziłby zamieszanie gorsze od obecnego stanu ze wszystkimi jego niedostatkami. „Kto ustrój umysłowy obecnego społeczeństwa obserwuje wzrokiem trzeźwym a nie przez zabarwione szkła socyalistycznej lub komunistycznej ideologii, musi przyznać, że kierunek indywidualistyczny społeczeństwa wcale się nie przeżył.. Dziś i długo jeszcze w najbardziej

*) *Das Recht auf Arbeit* (*Sociale Reform*). Lipsk. 1884.

zaludnionych krajach Europy pozostaje dużo pola dla reform w ramach indywidualnej pracy i posiadania, które posuną ludzkość ku ideałowi sprawiedliwości.“ Daremnie więc ktoś wstrząsałby teraz kolumnami, na których się wspiera społeczeństwo. Tego rodzaju zamachy zaszkodzą jedynie sprawie robotniczej i odstręczą od niej przyjaciół. Możliwemi są przeto ulepszenia tylko w granicach gospodarstwa *indywidualnego*, co wcale nie wyłącza tego, ażeby uczucie ogólnej solidarności społecznej rozwijało się coraz silniej, ażeby ustawodawstwo, uwzględniające przedewszystkiem interes klas uprzywilejowanych, poprawiało swe niedostatki i stwarzało warunki dla pokojowego współzawodnictwa rzeczywiście zrównanych. Jednym zaś z najważniejszych kroków na tej drodze jest prawo do pracy, które każdemu chętnemu i zdolnemu zapewnia niezbędną opiekę przeciwko wydziedziczeniu z zarobku. Osobnik powinien starać się o wytworzenie sobie poważnego i niepodległego stanowiska. Ale jeśli wszelkie usiłowania go zawiodą, jeśli on dla swej siły roboczej nie znajdzie żadnego zużytkowania w przemyśle prywatnym, wtedy społeczeństwo za pośrednictwem swych rozmaitych organów — państwa, okręgu, gminy — powinno spełnić wielki obowiązek, przygarnąć pozbawionego zajęcia i dać mu pracę w przedsięwzięciu publicznem.

Już w ostatnich wyrazach mieści się wskazówka praktyczna dla wprowadzenia tego „prawa“ i spełnienia tego „obowiązku,“ który — dzięki Bismarkowi — stał się naglącym przedmiotem rozmyślań Europy. Mimo wszakże tej wskazówki, brak odpowiedzi na najważniejsze pytania: jakie szczegółowe przedsięwzięcia ma podjąć społeczeństwo, ażeby, bez socyalistycznej i komunistycznej ideologii, bez wstrząśnień i przewrotów, ubezpieczyć masy ginące w przymusowem bezrobociu i poczynić na ich korzyść ustępstwa dobrowolne?

Stöpel daje rady w drugiej części swego dziełka, które przedstawimy czytelnikom naszym w numerze następnym.

SZKOŁY KOBIET WE FRANCYI.

Francya dzisiejsza nie cieszy się względami u polityków wielu — u naszych zwłaszcza. Zasłużyła ona sobie na niełaskę, którą często sama nie wie, skąd się bierze. Wypływa z ducha krytyki, szukającego stron ujemnych bądź co bądź i znajdującego je na podstawie tej reguły, dzięki której wszelakie dobro ma stronę złą i na odwrót? Zapewne tak jest. Ci sami, co Francyę podnosili wówczas, kiedy ona najmniej na to zasługiwała, dziś ją ganią a ganią, pomimo, że za niejedno pochwalić by ją wypadało. Weźmy np. przezorność jej w sprawie egipskiej: Anglia się uwikłała, ona nie. Z zajścia z Chinami wyszła z honorem, brzemiennym korzyściami. W Madagaskarze idzie jej nieźle. U ujścia Kongo zajęła stanowisko, rokujące następstwa pomyślne. Niezdara ten, za jakiego wszechopozycya pana Ferry podaje, interesy prowadzi nie tak może świetnie, jak kardynał Richelieu, albo jak Ludwik XI, lepiej atoli, aniżeli ministrowie Ludwika XVI, Napoleona I, Ludwika XVIII, Karola X, Ludwika Filipa i Napoleona III. Pokaże się, jak to będzie dalej; dotychczas atoli nie ma go tak bardzo ganić za co; najmniej zaś na naganę zasługuje za to, co mu zarzucają najmocniej, za co go kamienują, za co by go utopiono w łyżce wody nieświęconej — za wychowanie kobiet.

Zbrodniarz, o! zbrodniarz.

Otworzyć śmiał dla kobiet średnie zakłady naukowe?

„Licea i kolegia?“

Lycées et Collèges de jeunes filles: takim jest tytuł książki grubej, wydanej przez p. Kamila Sée, najpierwszego edukacyi kobiecej rzecznika. Tytuł to niezupełny. Dla uzupełnienia go dodać jeszcze potrzeba: „Dokumenty, raporty i mowy w Izbie deputowanych i w senacie, dekrety, postanowienia, okólniki etc., tyczące się prawa o nauczaniu średniem panieńskiem, z mapą figuracyjną; wstęp przez p. Kamila Sée, radcę stanu.“

Książka to bardzo ciekawa, pod dwoma mianowicie względami: jako dokument, świadczący o zainteresowaniu się Francyi ukształceniem niewiast i jako dowód, przekonywający o znaczeniu tego ukształcenia dla świata klerykalnego.

Projekt do prawa wniesionym został w Izbie niższej 15 grudnia 1879 pod prezydencyą Gambetty. Przy pierwszem czytaniu prawica w rozprawach udziału nie brała. Hr. de Perrochel oświadczył tylko, że opozycya przy drugiem dopiero czytaniu powie dlaczego zwalcza projekt, będący, według niego, ciągiem dalszym zamachów na Boga i religię. Zabrała ona głos w miesiąc później, d. 20 stycznia 1880, i wysadziła dwóch mówców tylko: pp. Keller i Bourgeois. Nie spodziewali się oni prawa zwalić, miało bowiem z góry większość zapewnioną; usiłowali więc tylko ośmieszyć je i kraj przestraszyć, a zarazem większość rozdrażnić i w Izbie awanturę wywołać. To ostatnie nie powiodło się. Większość krytykę, przycinki, obelgi nawet przyjmowała ze spokojem zupełnym—z siodła się wysadzić nie dała. Prawo w Izbie niższej przeszło. Szkopułem dla niego była wyższa. W senacie prawica, stosunkowo silniejsza aniżeli w Izbie poselskiej, liczyła przytem w łonie swojem mówców lepszych, a śród lewicy członków pojedynczych, podzielających, co do punktów pewnych, zapatrywanie się mniejszości konserwatywnej. Tam więc stoczyć się miała bitwa walna—starcie pomiędzy władzą duchowną, a władzą świecką; tam się rozstrzygnąć miała walka o kobietę.

Była to dla Francyi — a nie dla samej Francyi tylko—sprawa bardzo ważna. Rozumiały to strony obie. Wychowanie kobiety znajdowało się we Francyi do r. 1880 całkowicie i wyłącznie w rękach duchowieństwa i stanowiło rodzaj cytadeli, ubezpieczającej zarówno stanowisko kościoła, jakoteż nadzieje stronnictw monarchicznych. Chodziło niemal o śmierć lub życie. Prawica prowadziła kampanię z całą umiejętnością parlamentarną, z taktem całym. Chodziło jej o przekonanie osób dziesięciu, wahających się jeszcze. Nie była to rzecz niemożliwa, tem bardziej, że niezdecydowanych było w istocie więcej. Zadanie wzięli na siebie p. Chesnelong i książę de Broglie, mówcy znakomici, wspierani przez pp. Desbassayns de Richemont, Ravignan, Batbie, Poriquet, Wallon i in. Rozprawy zaczęły

---

Z wędrówek po mieście.

W smutny, ponury wieczór grudniowy zauważyłam go po raz pierwszy. Nie był to żaden bohater powieściowy i nic też nie miał z bohaterami wspólnego. Ani ubiór, ani położenie, ani wiek — nie dawały mu na to potrzebnych kwalifikacyj.

Nosił na sobie gruby, długi szaraczkowy surdut z barankowym kołnierzem, z metalowymi guzikami, które błyskały w pomroce od zapalonych latarni, i czapkę z daszkiem, przysłaniającym mu oczy; z niej świeciły także jakieś blaszane znaki i numery, był bowiem prostym konduktorem w tramwaju.

Co do wieku liczył może czterdzieści lat, może pięćdziesiąt i więcej jeszcze. Kiedy stał pochylony, przeziębły, znużony, chwiejąc się na nogach, wyglądał na starca, a jednak kiedy głos jakiś przyjazny zawołał na niego nagle: „Pan Hieronim“ — konduktor obrócił się tak szybko, rzucił tak jasne spojrzenie na osoby w wagonie, szukając tej, co go chrzestnem imieniem nazwała, jakby ubyło mu nagle lat kilkanaście.

Wówczas też i ja zwróciłam na niego uwagę, bo któż tam patrzy na konduktora! Jest to maszyna do odbierania zapłaty, posiadająca gimnastyczne zdolności — nic więcej. W przedziale, w którym siedziałam, było tylko, prócz mnie, dwóch panów. Po sumiastych wąsach i niedźwiedzich szubach łatwo było poznać obywateli wiejskich. Jeden to z nich zaczepił konduktora, a po chwili, nie odbierając odpowiedzi, dodał z akcentem przekonania.

— Jak Boga kocham, pan Hieronim! Ledwo cię poznałem sąsiedzie!

— Ja... ja poznałem pana Antoniego od razu — odparł zagadniony niepewnym głosem, witając go wzajem.

A na twarzy jego znać było zdziwienie, zakłopotanie i radość z żalem zmieszaną. Przypomnienie odbiło mu się na twarzy rumieńcem.

— Czemuż nie odezwałeś się do mnie?— pytał pan Antoni. Któż u dyabła mógł pomyśleć, że spotka w tramwaju dawnego sąsiada.

Konduktor bąknął coś półgłosem, szlachcic zaś, nie czekając wyraźniejszej odpowiedzi, obrzucał go pytaniami.

— Dawnoż w Warszawie? Od czasu jak sąsiad sprzedałeś Kowalówkę, wpadłeś jak kamień w wodę; słyszałem tylko, że wziąłeś dzierżawę w innej okolicy, a potem nic i nic.

— *Z* dzierżawy tak jak z Kowalówki wypędzili — odparł krótko. Wyniosłem się do Warszawy, i ot szczęście, że choć taki kawałek chleba znalazłem.

— A żona? dzieci?

— Żona... umarła.

Wyrzekł to pośpiesznie, zdławionym głosem, zdawało się, że pragnie uniknąć dalszych wspomnień i pytań.

Była chwila ciszy, wywołana tem uroczystem zawsze słowem śmierci; konduktor zawrócił się i chciał wyjść z przedziału, jakby go tutaj coś dusiło.

— Nie uciekajcie sąsiedzie — zawołał przejezdny, przytrzymując go za połę; ot mam jeszcze jechać kawał drogi, siadaj, pogawędzimy.

Wskazywał mu miejsce przy sobie.

— Nie wolno mi usiąść — odparł pan Hieronim.

— No, rozumiem, kiedy miejsca brakuje, ależ tutaj jest go dość.

— Choćby cały wagon był pusty.

— Żarty!..

Wstrząsnął głową z wyrazem, świadczącym aż nadto, że mu w niej żarty nie postały.

— Takie prawo — wyrzekł po chwili.

— A to mi prawo! — mruknął obywatel! Jakto i ty tak stoisz w tym wagonie przez całe pół dnia.

— Przez cały dzień — poprawił konduktor.

— Dzień cały i wytrzymasz?

Nie odebrał odpowiedzi.

— To przynajmniej — nalegał pan Antoni — przyjdź do mnie sąsiedzie po skończonej pracy, mieszkam tu zaraz w Saskim hotelu.

się 20 listopada 1880 i zajęły posiedzeń cztery; głosowanie ostateczne nastąpiło 10 grudnia. Opozycya usiłowała najprzód prawo obalić, dowodząc, że jest zgoła niepotrzebne, gdyż kobiety posiadają we Francyi szkół średnich dwa razy tyle, co mężczyźni, szkół doskonałych, odpowiadających zadaniu swemu zupełnie, a nie kosztujących państwa ani centima. Tu wykazać należało zadanie edukacyi kobiecej. Jakiem jest ono? Uczynienie niewiasty chrześciańską. Należało więc dowieść, że proponowana przez rząd szkoła z chrześcianizmu kobietę obdziera, a to dla tego, że wykład religii pozostawia do woli rodziców. Tyczący się kwestyi tej art. 5 brzmi: „Nauczanie religii udzielanem będzie na żądanie rodziców przez kapłanów obrządków różnych w zakładzie, w godzinach pozaklasowych. Kapłani obrządków różnych uznani będą przez ministra oświaty publicznej. Nie będą oni w zakładzie mieszkali.“ To wyraźne. Artykuł ten zapewnia rodzicom swobodę zupełną. Opozycya widziała w tem zupełnie co innego i dowodziła, że prawo ścieśnia wolność religijną w sposób despotyczny. Czytać potrzeba mowy, ażeby poznać i podziwiać subtelność dowodzeń, za pomocą których obraca się kota ogonem i zmienia go w nosorożca. Opozycya stanowiska swego broniła z poświęceniem, z odwagą i z zapałem, broniła znakomicie — i nie obroniła. Nie zdołała obalić rzeczy jednej: potrzeby uporządkowania edukacyi kobiecej i wyprowadzenia jej z zaduchu klasztornego na powietrze czyste. Walczyła następnie o artykuły pojedyncze, a mianowicie: o pierwszy, zaznaczający w programie naukę moralności i o piąty, wyżej przytoczony. Oczywistości przekręcić nie było sposobu. Prawo przeszło i wprowadzenie go w życie rozpoczęło się w r. 1881.

Rok 1881 w dziejach Francyi pozostanie pamiętnym.

Odtąd sprawa znaczny uczyniła postęp. Municypalności miast różnych zgłaszały się do ministeryum oświaty o organizowanie lyceów lub kolegiów. Pomiędzy lyceum a kolegium zachodzi tylko różnica administracyjna; program nawet jest ten sam i odpowiada programowi tych zakładów naukowych, które się u nas gimnazyami nazywają. Lycea istnieją już w miastach następujących: Paryż, Montpellier, Rouen, Besançon, Montauban, Lyon, Havre, Amiens, Guéret, Nantes, Nice, Roanne, Charleville, Bourg, Moulins, Saint-Etienne, Bordeaux, Toulouse; kolegia: w Montauban, Saumur, Louhans, La Fère, Lille, Abbeville, Armentières, Cambrai, Vitry-le-Français—razem dwadzieścia siedem zakładów, w których nauczanie odbywa się na prawdę. Okrom tego otworzone być mają po wakacyach lycea w Reims i Tournon, kolegia w Vic-Bigorre, Sedan i Oran. Przytem czterdzieści siedem miast prowadzi z ministerstwem układy celem uorganizowania bądź lyceum, bądź kolegium, a pomiędzy niemi Konstantyna (w Algierze) ofiaruje na ten cel fr. 300,000, Aix 400.000, Dijon 250,000, inne zaś podejmują się, jedne budowania kosztem własnym domów, drugie subwencyonowania zakładów za pomocą kwoty pewnej, mającej być wypłacaną corocznie. Niebawem przeto, obok 80 lyceów i 230 kolegiów dla chłopców, stanie we Francyi 79 zakładów edukacyjnych średnich dla dziewcząt. To warto zaznaczyć na karb zasługi rządowi, który tę ważną kwestyę rozstrzygnął.

Edukacya niewieścia we Francyi znajdowała się dotychczas w upośledzeniu ostatniem. Oto, jak ją biskup Dupanloup w *Lettres sur l'éducation des filles*, 1879, przedstawia: „Kobieta światowa, albo w ogóle nie umie nic, absolutnie nic, albo mówić nie umie, jak o toaletach, modach, wyścigach, śmiesznych jedne i drugie. Kobieta zna aktorów wszystkich i wszystko konie wsławione; na pamięć umie personel Opery i Rozmaitości; ze *Stud-Book* oswojoną jest lepiej, aniżeli z *Naśladowaniem*; w roku przeszłym zakładała się o *Touque*, w tym o *Vermouth*, a zapewnia, że *Boisroussel* ma przyszłość przed sobą; wielki Derby roznamiętnia ją, tryumf zaś *Fille de l'air* *) był dla niej zwycięstwem narodowem. Wymieni nam ona szwaczkę wziętą, siodlarza modnego, magazyn głośny; zważy zalety zgrabności stajni hr. de Lagrange, ks. de Morny lub p. Delamarre. Lecz, niestety, zwróćcie rozmowę na przedmiot z historyi lub geografii, mówcie o wiekach średnich, o krucyatach, o instytucyach Karola IV, lub Ludwika świętego, przyrównywajcie Bossueta, Corneilla albo Racina do Fenelona, wymówcie imiona Camoensa lub Danta, Royer-Collarda, Fryderyka Ozanama, hrabiego de Montalembert lub księdza Gratry, biedaczka oniemieje. Wdawać się ona może tylko z kobietami młodemi i ludźmi młodymi, płochymi, niezdolnymi rozprawiać ani o interesach, ani o sztuce, ani o polityce, ani o rolnictwie, ani o naukach, mówić nie ma o czem ani z mężem, ani z teściem swoim, ani z proboszczem nawet, ani z nikim poważnym.“ Oto—co było i co jest jeszcze we Francyi, w sferze edukacyjnej niewiast wielkoświatowych, owych „niewiast chrześciańskich,“ w celu zachowania których dla szczęścia narodu mówcy opozycyjni kopie kruszyli.

*) Nazwa koni wyścigowych.

W parlamencie im się nie powiodło; przenieśli walkę na pole pozaparlamentarne. Nie masz przeszkody, której by nie stawiali lyceom i kolegiom żeńskim. Walka się toczy dalej, a szrankami jej są: publicystyka, ambona i konfesyonał. Mimo to, dwadzieścia siedem szkół funkcyonuje już, siedemdziesiąt dziewięć powstanie niebawem. Rząd postąpił sobie bardzo, zdaniem mojem, trafnie, że nie tknął ani szkół prywatnych, ani zakładów klasztornych: postawił je tylko w konieczności dostrajania się do zakładów rządowych i współzawodniczenia z nimi. Oświata tylko na tem zyskać może. Na rezultaty — rzecz prosta — poczekać potrzeba. Reforma tego rodzaju owoców w przeciągu lat trzech nie wydaje, zwłaszcza że ją wyłamywać niejako potrzeba z tych łańcuszków misternych, w jakich edukacya niewieścia wieki całe chodziła i do jakich nawykła.

Radzę czytać dzieło p. Kamila Sée, którego tytuł powyżej podałem.

T. T. Jeż.

LITERATURA UKRAIŃSKA.

V.

Treść dramatu *Ne sudyłoś* następująca: Syn obywatela ziemskiego Ukrainy zadnieprowej Iwana Andrejewicza Laszenko — zakochał się w wiejskiej, ubogiej dziewczynie Katri Dzwonariwnie i miłość jej wzajemną pozyskał. Wszystko to się działo potajemnie przed rodzicami; wiedzieli tylko

---

— Mój dzień zaczyna się o 7-mej rano a kończy koło północy.

— To w niedzielę, dziś piątek, będę jeszcze w niedzielę w Warszawie, przyjdźże.

— Dla nas przecież niema niedzieli.

— A niechże ich! — zaklął energicznie szlachcic. Toćże koń roboczy, wół od pługa odpoczywają w niedzielę, choć nie pracują siedemnastu godzin dziennie.

— Cóż robić — odparł konduktor — kiedy ludzie więcej mają czasu i więcej jeżdżą w święto, niż w dzień powszedni.

— I wieleż wam za to płacą?

— Trzydzieści rubli miesięcznie.

— I nic więcej?

— Ano nic, jak zwykle w Warszawie.

— Ani mieszkania, ani stołu?

— Nic zgoła.

— Ależ z tego nie sposób wyżyć z dziećmi. Panie Hieronimie, rzuć to do dyabła. Cóż, czy nie znajdziesz innego chleba?

— Oh! — zawołał — próbowałem.

W tem słowie było tyle goryczy, jakby w niem zadźwięczało echo nieskończonej liczby niepokojów, zawodów, upokorzeń.

— Panie Antoni — dodał po chwili ze spokojem rezygnacyi — cóż robić: wykształcenia fachowego niemam, o chleb trudno, a na moje miejsce czyha mnóstwo kandydatów.

— No to usiądź przynajmniej sąsiad na chwilę, nikt tego nie dostrzeże a tak to doprawdy przykro rozmawiać.

A gdy konduktor uczynić tego nie chciał, zawołał z gniewem.

— Te wasze prawa są wprost nie ludzkie! Gdzież człowiek może przez tyle godzin kręcić się po wagonie bez chwili odpoczynku! Usiądź, przecież nikt nie doniesie.

I obejrzał się po wagonie.

Konduktor obejrzał się także, ale uczynił to z niepokojem; lękał się widocznie, by ktoś słów tych nie usłyszał. Oprócz dwóch szlachciców i mnie w wagonie nikogo nie było; zawsze fizyognomia moja nie wydała mu się podejrzaną, bo rozjaśniło się jego oblicze.

Nie usłuchał jednak rady sąsiada, oparł się ramieniem o ścianę i wyrzekł.

— Jestem przyzwyczajony do stania, a zresztą tak zobowiązałem się.

I dodał z odcieniem dumy, która mogła się wydawać dawnemu sąsiadowi bardzo śmieszną, i nie licowała z położeniem.

— Cóż chcesz, panie Antoni, pragnę, żeby mnie szanowano, więc sam muszę szanować przepis; bo gdyby mnie spotkała wymówka, nieprzyjemność, czuję, że tegobym nie zniósł.

Gdy to mówił, czoło jego, pomarszczone troską, podniosło się z wyrazem, którego nie domyśliłby się w nim nikt, gdy zgarbiony ciężarem losu i pracy spełniał swoje obowiązki.

Dojeżdżaliśmy właśnie do stacyi, na której miał wysiąść pan Antoni.

— Więc nie zobaczymy się więcej? — spytał, żegnając konduktora.

Nie miał on czasu odpowiedzieć, ktoś wsiadał, trzeba było pamiętać o biletach. Wagon potoczył się dalej. Kiedy jednak padło na twarz jego bladawe światło błękitnej latarni, dostrzegłam, że wzrok miał szklisty, że spoglądał jak człowiek, co goni uciekające widma dni szczęśliwych. Zapewne przed oczyma jego wyobraźni, snuły się minione słoneczne chwile przeszłości, wioska rodzinna, dom własny, ognisko, przy którem siedziała kobieta ukochana, kobieta, którą zapewne zabiły zgryzoty, troski, nędza. I wyobrażałam ją sobie białą, wiotką, delikatną, nie przywykłą do pracy ciężkiej, do trudów życia, nie umiejącą ich znosić.

Odtąd konduktora tego widywałam często. Obowiązki powoływały mnie w część miasta oddaloną, ku której dążyły wagony z błękitnymi znakami, a ile razy spotykałam go w tramwaju, przypominało mi się spotkanie, jakiego byłam świadkiem, i owa błyskawica dumy, co zajaśniała w jego oczach, gdy mówił, że chcąc by go szanowano, obowiązków swoich ściśle przestrzegać musi. I przestrzegał ich, trzeba to przyznać: był zawsze bacznym, uprzejmym, niezmordowanym, a kiedy jego szerokana mulona ręka podawała mi bilet, i widziałam na niej błyszczące dwie złote obrączki, z których jedna zaledwie mieściła się na maleńkim palcu, zdawało mi się, że słyszę

o wszystkiem: młody lekarz, bawiący u rodziców Mychajła na wsi Paweł, przyjaciółka Katri—Paszka i pokojówka Anny Petrowny — Annuszka. Mychajło na drodze swojej napotkał przeszkodę: był nią parobek Dmytro Kowbań, który kochał Katrę przed poznaniem się jej z „panyczem“ i zyskał jej wzajemność. Mychajło nie wiedział, jak sobie zjednać rodziców; myślał, że uda mu się załatwić tę sprawę przez krewnego matki Mikołaja Stepanowicza Biełochwostowa. Tymczasem dowiaduje się o wszystkiem matka Mychajła i w sercu jej budzi się jakaś wściekła, bezbrzeżna nienawiść dla „chłopki,“ która śmiała pokochać jej syna i zagrodzić mu karyerę do urzędów i zaszczytów; kuzynek Biełochwostow intryguje przy pomocy służącego Charłampija, ale Katria, nie mogąc przenieść tej walki i upokorzenia — truje się. Dmytro w przystępie boleści rzuca się z nożem na Mychajła, chcąc go zabić, ale w tejże chwili chwytają go i wiążą.

Temat, jak widzimy, nie nowy, ale ciągle odnawiająca się jego świeżość zależy od tych barw, które pisarz w duszy swojej mieści. Możnaby powiedzieć z Heinem:

Das ist die alte Geschichte —
Doch bleibt sie immer neu...

Mychajło — to panicz, który nałykał się w uniwersytecie postępowych idej, ale ich nie przetrawił, nie zrosły się one z jego duszą. Mówi o pracy, ale z niej się śmieje i zamiast pracować, woli „pokaczatyś po trawi piśla kupańnja i zatiahtyś syharoju.“ Dla niego demokratyzm—modą, życie ludu wiejskiego — światem, gdzie się z tą modą popisywać może. Kierują nim tylko niewyraźne instynkty, popędy bezsilne, które tamuje lub łamie lada przeszkoda. Miłość dla wiejskiej dziewczyny nie występuje w nim jako potrzeba, ale jako przyjemność serca, jako coś, co niby ma dać świadectwo o jego przekonaniach. To nie miłość—to zabawka. Nie przeczuwa on i nie przewiduje, dokąd ta zabawka zaprowadzi jego i tę biedną istotę, która go kocha.

W rozmowie z Pawłem, młodym i poważnym lekarzem, unosi się i chciałby zerwać te pęta, które go ze światem wiążą. Ale lekkomyślna i płytka natura nie potrafiła stawić czoła zastępowi przesądów i obyczajów i biedne wiejskie dziewczę, które pokochało panicza całą czystą duszą, padło ofiarą własnego zaślepienia.

Matka Mychajła, próżniaczka i stara kokietka, w karyerze syna, którą miał zrobić w Petersburgu pod okiem wuja, widziała jego szczęście. Szczęście to wymykało się jej w okropny jakiś, niepojęty dla niej sposób; nic więc dziwnego, że obarczona całym balastem „uprzywilejowanej klasy,“ nić wiążącą syna z wiejską dziewczyną nie wahała się przeciąć—nożem. Sądziła, że dosyć będzie, jeśli hańbę i boleść wiejskiej, biednej dziewczyny opłacą — gotówką, bo i jakże mogłaby przypuszczać inne uczucia w piersi tych, którzy codzień pracują na to, ażeby „pani“ mogła sobie sprawić nową suknię, nowe koronki, perły kupić i uszy—ośle nieraz—ozdobić brylantami.

Dmytro odczuł zniewagę, wyrządzoną ukochanej przez niego kobiecie i życie „panicza“ ocalonem było tylko dzięki chybionemu ciosowi. Paweł miał prawo zakończyć krwawą scenę gorzkim wyrzutem przyjacielowi: „tak, taka panyczu wasza poczyja!“ Taka poezya! Dmytro, przysiągłszy w duszy zemstę, podpala dwór Laszenków i z nożem rzuca się na Mychajła, potem we własną pierś go kieruje — także bezskutecznie, a Katria, pożar wzniecony przez panicza w jej sercu, zalewa — atropiną...

W duszy wieśniaczej, zdrowej i silnej jak jego ciało, nie łatwo się budzi namiętność, ale raz rozbudzona, głęboką jest jak morze. Tę prawdę znał i umiał świetnie wyzyskać p. Staryckyj. Gra uczuć ludzkich, stopniowana z wielką znajomością psychologiczną, pozwoliła mu stworzyć prześliczne sceny. W dramacie, który się rozwija swobodnie i równo, niema postaci luźnych; w budowie widać staranne, artystyczne obrobienie, którego w wielu wypadkach brakuje p. Kropiwnickiemu. Biełochwostow—to Don-Juan, sybaryta, dla którego świat istnieje po to, ażeby wygodniś czuł przyjemność życia. On też oczyma Anny Petrowny patrzy na *dzikie* projekty Mychajła i słabego moralnie krewiaka ciągnie jak Mefistofel do swego brudnego świata — w najlepszej myśli. Nawet lokaj Charłampij i pokojówka Annuszka narysowani są z takim humorem i dowcipem, jak gdyby były żywcem przeniesieni z Moliere'a.

P. Staryckyj, znany już czytającej publiczności z poezyj i operetki (*Rizdwiana nicz*), z dramatem *Ne sudyłoś*, o ile nam wiadomo, wystąpił po raz pierwszy. Wiemy, że studyował Shakespeare'a, nawet tłomaczył Hamleta; można też mu powinszować, że niedaremnie poznał się ze starym Wilem.

Ażeby zakończyć z dramatem, powiemy słów kilka o *Antygonie* w tłomaczeniu p. Niszczyńskiego. Są krytycy (między nimi p. Kostomarow), którzy mają za złe ukraińskiej literaturze zbytnią pochopność do przekładów; mojem zdaniem jest to zarzut niezmiernie — ciasny. Każdy człowiek zdrów, silny i światły szuka zawsze u obcych tego, czego mu brak, co pragnąłby poznać, chociażby dla tego, ażeby uzupełnić swoje wykształcenie. Usiłowanie takie nietylko nie jest wadą w literaturze ukraińskiej, ale stanowi jej wielką zaletę i znamię zdrowej energii i siły. Piękno pozostaje zawsze pięknem; w dziedzinie sztuki, nauki, poezyi niema nienawiści czerpanych z mętnego źródła.

P. Niszczyńskyj, który w dyalogach zachował 15-zgłoskowy wiersz, umiał nadać tłomaczeniu pewną barwę swojskości i w tym względzie rzadko posunął się do przesady. Jego chóry pisane są rozmiarami pieśni i dum ludowych ukraińskich i to właśnie nadaje im pewną oryginalność i lekkość.

Cały przekład wykonany jest z taką swobodą i nieprzymuszeniem, że nie widać najmniejszego łamania się z oryginałem, a język zwykle jędrny i giętki w niektórych dyalogach między Antygoną a Kreonem przybiera dramatyczną siłę.

Niekiedy trafiają się prowincyonalizmy czy neologizmy nadto niezrozumiałe, jak. „tworyt' wona *chałaziji*“ (30) lub tłomaczeczenie przybiera charakter swojszczyzny nadto rażący, szczególnie w chórach.

P. Staryckyj, któregośmy poznali z pięknego dramatu *Ne sudyłoś*, odznaczył się już był poprzednio jako poeta i tłomacz Byrona, Mickiewicza, Syrokomli, Nekrasowa, Lermontowa, pieśni serbskich itp. W roku 1881 wydał zbiorek poezyj pod tytułem: *Piśni i dumy* a w r. 1883 drugi zbiorek tej samej objętości, co i pierwszy, i pod tymże tytułem. P. Staryckyj niezawodnie wybitnym poetą nie jest i wogóle poezya w dzisiejszej ukraińskiej literaturze stanowi stronę najsłabszą. Każda wielka epoka w umysłowym i duchowym rozwoju społeczności i narodu powołuje do życia wiel-

---

głos, jakim zapytany o żonę, wymawiał to słowo: „Umarła.“

Zapewne w innych warunkach, podobnie małoznaczące zdarzenie, uleciałoby mi z pamięci, ileż to ludzi traci majątek, położenie społeczne, drogie sercu osoby, ileż stoi wyżej od gnębiących okoliczności! Ale w tramwaju skazana na kilkominutową bezczynność, spotykałam się z tym człowiekiem oko w oko, i ta twarz surowa, znękana, i ta drobna pamiątkowa obrączka przypominały mi uparcie jego dolę.

Konduktor stał się dla mnie sympatycznym, lubiłam siadać do wagonu, w którym on gospodarzył, interesowały mnie drobne wypadki kursu, a ile razy kontroler przeglądał bilety, jednocząc się z panem Hieronimem, patrzyłam na niego ja także, z dumą nieposzlakowanego sumienia jak to czynił on i myślałam: „Nas na malwersacyi nie złapie.“

Dnia jednego siadłam do wagonu, gdy już ruszał z teatralnego placu. Miejsca wewnątrz nie było, musiałam stanąć na platformie, a była to wcale rzecz nie wygodna w tej chwili, bo wiatr zachodni niósł z wściekłością płaty mokrego śniegu, które sypały ciężkie, ołowiane chmury.

Gdyśmy ruszyli, dobiegło do stacyi kilkonastoletnie dziewczę. Ubrane było mimo zimna w leciutki paltocik, zrudziały od długiego noszenia; ze zbyt krótkich rękawów wychodziły czerwone ręce, tulące się daremnie w wytartą, maleńką mufkę. Stary kapelusik przykryty był czarną włóczkową chustką, która otaczała chudą, smagłą, siną od zimna twarzyczkę, z dwojgiem czarnych, zapadłych oczów. Oczy te biegały niespokojnie, po kilku krzyżujących się wagonach, aż wreszcie zatrzymały się na panu Hieronimie.

On dostrzegł ją także, ręka jego podniosła się do dzwonka, jakby miał zatrzymać woźnicę. Był to znak machinalny, nie dozwoliła mu go dokonać refleksya, i wagon jechał dalej przez plac, którym dziewczę biegło na przełaj, bez tchu prawie.

Około rzymskiego hotelu, ruch wagonu się zwalnia przy zakręcie, ona o tem wiedziała, i szła chodnikiem tuż koło szyn, podnosząc w górę twarz, na której pomimo zimna, wystąpiły kropelki potu.

— Ojcze, ojcze — wołała.

Nie potrzebowała wołać, pan Hieronim pochylił się ku niej.

— Cóż? — zapytał tylko.

Ale w głosie jego drgała niepewność i trwoga śmiertelna. Wiedział dobrze, iż nie szukała go daremnie.

— Stasiowi gorzej, ma taką gorączkę, iż nie poznaje nikogo, na buzi i rączkach wystąpiła mu wysypka, pewno znów szkarlatyna.

Zrazu nie odpowiedział nic, stał niemy, ogłuszony wieścią, która mu się straszną wydała, bo zbronzowane jego czoło pobladło, a ręce załamały się tak silnie, że aż stawy zatrzeszczały.

— Tak jak nieboszczyk Józio — szepnął tylko tak cicho, że ja jedna, co stałam przy nim, dosłyszeć go mogłam.

A tymczasem wagon się toczył i dziewczę biegło przy nim z wymownemi oczyma wlepionemi w twarz ojca.

On też oprzytomniał szybko i wyrzekł urywanie.

— Franiu! idź po doktora, nie trać chwili, o tej godzinie zastaniesz go pewnie w domu. Poproś, on nie odmówi.

Rzucił jej adres lekarza, którego znał zapewne kiedyś, za dni dobrych, na którego rachował, ale ten lekarz mieszkał daleko, właśnie na linii, którą tramwaj przebiegał.

— Czemuż jej pan nie weźmiesz? — zawołałam, mieszając się do ich rozmowy.

Spojrzał na mnie jak człowiek ze snu zbudzony.

— Nie wolno! — odparł.

— Jakto nie wolno wziąść dziecka lub żony? Muszą być tu przecież, jakieś bilety wolnej jazdy, jak na kolejach.

— Niema, gdybym wziął kogo z rodziny, mógłbym stracić miejsce, a płacić nie jestem w stanie.

— To ja zapłacę — wyrzekłam niebacznie.

Wyprostował zgarbioną postać, jakby go ta pozycya obraziła.

— Ja nie żebrak — zawołał, chciał zawołać, bo słowo niedokończone skonało mu na ustach, było ono owocem dawnych przy-

kich ludzi. Przełom duchowy, jaki pod wpływem gniotących okoliczności cicho odbywał się w łonie ludu, wiejskiemu pastuszkowi i sierocie dał głos potężny i wielkiego ducha — tym pastuszkiem był Taras Szewczenko. Tacy ludzie nie mogą się zjawiać codzień.

P. Staryckiemu trzeba przyznać, że on ma w sobie więcej dobrych chęci jak poezyi, a jego język i ciężkie niekiedy kulawe pieśni odbiegają nadto od tego pierwowzoru, jaki pozostawił Szewczenko. Większość utworów pisana językiem prowincyonalnym. Niemożna jednakże nie przyznać, że na każdym kroku znać kształcenie się pióra i smaku artystycznego. W jednym zbiorze są poezye bardzo a bardzo rozmaitej wartości. Wiersz *Do sławjan* piękny myślą zasługuje na to, ażeby go warszawscy krytycy czy literaci w jakiej łaskawej gazetce choć na szarym końcu umieścili... Ach, mój Boże! zagraniczna polityka tak wiele miejsca zajmuje, że nic nie zostaje dla własnej polityki—chociażby bez tytułu.

Z większych rzeczy tłomaczonych znajdujemy: Nekrasowa *Moroz*, Byrona—*Mazepa* i Lermontowa — *Demon*; wszystkie w drugim tomiku. Reszta pieśni serbskie, czeskie i polskie. Najwięcej miejsca poświęcono po pisarzach rosyjskich utworom polskim i serbskim. Drobne wiersze Mickiewicza, szczególnie *Czaty*, wyszły w tłomaczeniu wybornie, prawie dosłownie:

W noczi z ohoroda, prybih wojewoda,
W oczach szczoś pałaje nehoże...
Od złoi naruhy serdeńko rwe z tuhy,
Z zapału zdychnuty nezmože.

Prybih do świtłyci, upaw do łyžnyci,
Odkynuw zapony rukoju —
I zblid po chwylyni: nema hospodyni,
Nema mołodyci w pokoju.

Takąż samą wiernością i swobodą odznaczają się inne przykłady z Mickiewicza: „Spomyn‟ „Do Suły‟ (do Niemna), „Moje mazuniatko‟ (Moja pieszczotka), „Son,‟ a również Syrokomli („Posztar,‟ „Bożе wołyci‟ i inne).

Syrokomla szczególnie doskonale wychodzi w przekładach p. Staryckiego; jego prostota i wiejski nastrój liry odbrzmiewa pokrewnem echem w pieśni ukraińskiej; p. S. zna widać bardzo dobrze język polski, bo wszystkie falowania uczuć rozumie i umie powtórzyć w swojej mowie.

W tłomaczeniach serbskich — może nam się tak zdaje—widać więcej chropowatości, chociaż większość ich można zaliczyć do bardzo udatnych. To samo da się powiedzieć o czeskich, których jest zaledwie kilka, a między niemi znaleźliśmy trzy z „Rękopisu Królodworskiego.‟

Kończąc krótkie uwagi o poezyi Staryckiego, a raczej o jego przekładach, możemy je z przyjemnością polecić polskiej publiczności, czyli lepiej się wyrażając tym czytelnikom, którym trochę czasu pozostało od polityki — dla rzeczywistości. Wielkie ty słowa powiedziałeś Tarasie do ziomków:

W swojej chati swoja prawda
I syła i wola...

Ależ kiedy słowa twoje staną się ciałem?

Jeszcze kilka słów o poemacie p. M. Kokonenko: *Neszczasne kochan ja* (Kijów 1883). Jego autor, dziewiętnastoletni młodzieniec, syn włościanina z gubernii połtawskiej występuje po raz pierwszy, dzięki dobrej woli p. Z. Ilnickiego, który wolny od zawiści pokątnych, tak często grasujących u nas jak epidemia, na sąd publiczny oddaje pierwszą pracę ubogiego młodzieńca. Utwór to słaby, ale znać budzącą się poetyczną duszę; życzyć tylko należy, ażeby p. K. tej duszy w życiu nie sprzedał i nie zmarnował.

F. Rawita.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, maj.

Wycieczka do Saalburga. — Nowe muzeum w Homburgu z ruletą na pierwszym planie. — Niemcy wyjeżdżają do Afryki. — Fischer contra Krause. — Muzyka. — Niemcy o literaturze polskiej. — Nowe dzieło.

Korzystając z pięknych i długich dni wiosennych, odbyłem oddawna zamierzoną wycieczkę w niedaleką okolicę, do świeżo odkrytego zabytku rzymskiego; z opisów i opowiadań wróżyłem sobie wiele stąd przyjemności: rzeczywistość nie zawiodła oczekiwań; owszem, w wielu względach je przewyższyła.

Mówię tu o Saalburgu, zameczku rzymskim, odkopywanym obecnie z pod wiekowych gruzów i wiekowego zapomnienia.

Od brzegu Renu, koło Kolonii, przecinając lasy i rzeki, wspinając się na wysokie góry, biegł na daleki wschód, aż po Dunaj, wał graniczny i usypany przez rzymian, północna krawędź wielkiego mocarstwa, „limes imperii romani.‟ Przechował się on dotychczas bardzo wyraźnie, chociaż w ciągu dwu tysięcy lat w wielu miejscach porosły go lasy, lub poprzecinały drogi i groble. Jest to nasyp piramidalny, kilka stóp wysoki, a obok niego tylež głęboki rów, w nizinach napełniony wodą. Są wskazówki, że na samym grzbiecie wału ciągnął się nieprzerwany płot, a raczej ostrokół wkopany w ziemię, nakształt palisad.

Parę tysięcy lat temu linia ta graniczna oddzielała świat ucywilizowany od barbarzyńców. Na północ błąkały się dzikie hordy germańskie, ciekawie lub nienawistnie zazierające przez szpary palisad w obcą im, niby zaczarowaną krainę kasztelów, wieżyczek wałowych, pięknych budowli o czerwonych dachach, błyszczących szkłem oknach, o portykach, wspartych na rzeźbionych słupach, śród których poważnie wyglądały nadludzkiej postaci posągi bogów i imperatorów. Na galeryach gęstych wieżyczek przechadzał się, szarym płaszczem okryty, błyszczącym hełmem przystrojony „miles romanus,‟ przedstawiciel i obrońca cywilizacyi jednego i jedynego naówczas świata, który znał co prawo i porządek, umiał domy stawiać i ogrzewać, umiał czytać i pisać, a co najważniejsza, umiał w grozie i poszanowaniu utrzymać granicę swoją póty, póki mu starych bogów nie omierził i nie wypłoszył nowy „duch od wschodu.‟

Pomiędzy rzekami Lahnem a Menem, wspiąwszy się na najwyższy szczyt pasma gór Taunus, owa granica światła od ciemnoty spuszcza się w wąwóz, dający jedyny przystęp z północy na niziny homburskie; otóż wąwóz ten trzeba było umocnić i zabezpieczyć od drapieżnych Chattów, później Alemanów; więc o kilkaset kroków na południe od wału granicznego wzniesiono tu (jak się zdaje w pierwszym wieku przed Chrystusem) zameczek obronny, „castellum‟ i ten to odkopano niedawno. Zameczków takich było bardzo wiele na całej linii

---

zwyczajeń, wyrazem słusznej dumy człowieka, który nic od nikogo nie potrzebuje, bo ma swego chleba dosyć, ale przerwała je myśl inna, poczucie obecnego położenia i dodał drżącym głosem.

— Dziękuję pani.

Chciał zawołać na córkę, ale już było zapóźno, tramwaj tymczasem wyprzedził dziecko, tylko widać było z daleka jak wiatr targał połami jej paltota i rozwiewał końce czarnej chustki.

W kilka dni, kiedym znowu spotkała pana Hieronima spytałam o chore dziecko, miało się ono bardzo źle, i myśl ojca widocznie była przy niem; zrozumiałam to widząc, że patrzy na przejezdnych błędnym wzrokiem, nie rozeznając ich dobrze, myli się dając bilety lub sygnały.

Konduktorom przecież mylić się nie wolno, a on o tem zapomniał.

Ruszaliśmy właśnie z jednego z przystanków, kiedy z platformy, gdzie stało kilka osób, odezwał się głos podniesiony.

— Stój! stój! Cóż to nie widzisz, że dama chce wysiąść.

Podniosłam oczy, szukając do kogo zwrócone były te słowa, którym akcent gniewu i groźby, dodawał jeszcze obelżywego znaczenia, i kto je wymawiał a wówczas dopiero zobaczyłam młodego człowieka z roziskrzoną twarzą. Nie zdołał on wyprowadzić z wagonu swojej towarzyszki, konduktor nieuważny zadzwonił zbyt prędko, więc wskoczył na powrót na platformę, i gniew swój wywierał na niego.

— Cóż to nie widzisz pan, co się dzieje?— wołał, zapalając się coraz więcej i podnosząc głowę ruchem właściwym ludziom, przekonanym o swojej wyższości.

Twarz jego mało inteligentna, miała wyraz zuchwałości i sterczały na niej wydęte wargi, na które wysypywał się zaledwie rudawy zarost. Widocznie rozgniewał go nie fakt małoznaczący, tylko lekceważenie jego osoby. Ubrany w kosztowne futerko, z hebanową laseczką w ręku, stał naprzeciw konduktora, przygniatając go swoim majestatem.

Spojrzałam na pana Hieronima; był blady, wargi miał przycięte, jakby chciał gwałtem zatrzymać słowa, które się na nie cisnęły.

Był winien, czuł to sam, więc starając się zapanować nad sobą wyrzekł.

— Daruj pan, nie uważałem.

Zmuszał się wyraźnie do przeprosin, wobec impertynenckiego obejścia młodego człowieka, kosztowały go one wiele, to też w głosie jego było drżenie tak silne, iż zaledwie zrozumieć go było można.

Zamiast rozbroić jednak, wyrazy te podniecały gniew przeciwnika.

— Co to nie uważałem — pochwycił — pan tu jesteś na to, żebyś uważał!

— To też przepraszam — odparł konduktor także podniesionym głosem.

Widziałam, że w jego oczach zapalały się iskry purpurowe, a młody człowiek nieułagodzony wcale, machał mu przed nosem prawie hebanową laseczką i wołał.

— Co mi tam pańskie przeproszenie. Ja zapiszę sobie numer wagonu, idę zaraz na skargę, jestem kuzynem naczelnika ruchu, powiem mu co się dzieje. Tu niepotrzeba pijaków. Każden widzi, że jesteś pijany.

Na to ostatnie słowo, czoło pana Hieronima zalało się falą krwi, żyły wyprężyły się na niem, a oczy rzuciły taką błyskawicę, iż widziałam chwilę, w której pochwyci przeciwnika, wyrwie mu laskę, połamie w kawałki i ciśnie w twarz. Ręce jego nawet podniosły się, idąc za popędem chęci. Był strasznym.

Ale to trwało chwilę tylko, ramiona jego opadły, błyskawica zagasła pod spuszczonemi powiekami, a usta pozostały milczące. Pomyślał o dzieciach bez chleba.

Kuzyn naczelnika ruchu, mógł pysznić się swojem zwycięstwem, zmiażdżył zupełnie przeciwnika. Zadowolony tem zapewne, wyszedł dumnie z wagonu i podawszy ramię swojej towarzyszce, oddalił się lekkim krokiem.

Konduktor stał długą chwilę pognębiony, z rumieńcem wstydu na twarzy, nie śmiejąc spojrzeć w oczy tych, co byli świadkami wyrządzonej mu obelgi. Głowa zwisła mu na piersi, grube zmarszczki fałdowały czoło. Niestety największa sumienność w pełnieniu obowiązków nie uchroniła go od tego, czego się lękał. Podrzędne położenie idzie w parze z posądzeniem,

od Renu do Dunaju; wiadomo, gdzie mniej więcej stały; oto np. zareńskie przedmieście Moguncyi, dotychczas noszące nazwę „Castel,“ znajduje się na miejscu takiego zameczku; ale nigdzie ani ślady okopów, ani zabudowań nie przechowały się tak wyraźnie, jak w Saalburgu.

Nazwę Saalburga tłomaczą rozmaicie; najpodobniejszem do prawdy jest przypuszczenie, iż dzicz teutońska, zburzywszy warownie rzymskie, nie mogła zapomnieć, iż na tem miejscu wznosiły się wspaniałe „sale“ t. j. domy z portykami i obszernemi komnatami, i nazwała grodzisko to „twierdzą z salami, pałacami“—Saalburgiem. Starożytni nazywali gród ten Artaunon (Ptolemeusz), co wyraża zapewne „Arx-Tauni,“ gród taunusowy. Nawiasowo mówiąc, nie należy myśleć, iżby dzisiaj używana nazwa gór „Taunus“ przechowała się od czasów rzymskich w ustach ludu: wskrzeszono ją i wprowadzono w użycie niedawno, około sto lat temu; lud wyżyny te nazywał i dziś jeszcze „die Höhe“ i dlatego to pobliski Homburg nosi nazwę urzędową „Homburg an der Höhe.“

Od miasteczka tego, sławnego niegdyś ruletą, a dziś pyszniącego się tylko zdrojowiskami i wspaniałym kurhauzem, szosą ku północy, po godzinie jazdy dostaje się do Saalburga, po za którym, jakem to już nadmienił, o kilkaset kroków dalej kończył się świat rzymski. Przed kilkunastu laty szumiał tu bór gęsty i stary; sterczały tylko jakieś kawałki starych murów i gdzieniegdzie na rąb postawione kamienie; wiedziano, że to jakaś ruina, ale nie przypuszczano, że owe szczątki muru, to niegdyś wspaniałe bramy warowni, a owe stojące płyty, to znaki grobowe. Ludek okoliczny szukał tam ociosanych kamieni i starych cegieł na swoje potrzeby. Dopiero w końcu zeszłego wieku spostrzeżono, że to rzymskie grodzisko; lecz nie więcej jak od lat kilkunastu zabrano się gorliwiej do odkopywania. Za czasów istnienia rulety, dzierżawca jej, sławny milioner Blanc, dawał corocznie odrobinkę zysków swoich na odkopywanie; po skasowaniu gry, rząd zasila sumą 3000 marek komisyę odgrzebującą to ciekawe grodzisko; suma to stosunkowo niewielka, bo trzeba z niej nietylko robotników, ale i komisyę i nadzorców robót opłacać; więc praca idzie bardzo powoli: w dniu, kiedym Saalburg zwiedzał, siedmiu tylko ludzi kopało. Do zrobienia jest bardzo wiele jeszcze; okazało się bowiem, że po za kasztelem właściwym rozciągało się miasteczko, groby, forty i domy oddzielne, tak iż chcąc gruntownie cały ten budynek wyzyskać, należy przynajmniej dziesięć kilometrów kwadratowych pilnie przekopać: gdyż gdziekolwiek coś było, tam dwadzieścia wieków nasypało tyle gruzów, ziemi, drzewa i liści, że trzeba zdjąć 2 do 3 stóp skorupy, zanim się do szczątków siedzib dobierze.

Zrobiono jednak dotychczas niemało. Obnażono całą powierzchnię, zamkniętą okopami właściwego zameczka; odkryto kilkadziesiąt domów, a raczej fundamentów po za wałami; zbadano kilkaset grobowców; zgromadzono i złożono w kurhauzie homburskim tak bogate i ciekawe muzeum, że dzisiaj pod niektórymi względami chyba neapolitańskie obfitością je przewyższa. Mało zresztą mówią i piszą o tem, bo to rzecz zupełnie nowa i nie dość jeszcze oceniona.

Przypatrzmy się teraz zameczkowi, jak go dziś oglądamy. Śród gęstwiny leśnej ukazuje się niespodzianie dość duża, czworoboczna płaszczyzna, opasana podwójnym, wysokim, kopanym wałem; na wewnętrznym zachował się bardzo dobrze gruby mur z kamieni i wapna; pomiędzy dwoma wałami głęboki rów utrudniał dostęp. Czworobok ma długości 300, szerokości 200 kroków. Otwiera się cztérema bramami na cztery strony świata; północna, „porta praetoria“ najlepiej się zachowała; południowa, „porta decumana“ (t. j. brama dziesiątej kohorty, która zwykle w obozach koło niej stała), największa i tutaj, jak zwykle w obozach i warowniach rzymskich; jest ona podwójna, a przedzielona była albo prostym słupem, albo też, jak się domyślają, kolumną z niszą i z jakimś w niej posągiem. W środku czworoboku kilkanaście zabudowań. Główne, po samym środku, mieściło kwatery żołnierzy i oficerów, kapliczkę (sacellum), salę na ćwiczenia w rzucaniu pocisków, werandę na kolumnach wspartą, studnię, składy itd. Oprócz głównego gmachu, widnieją ślady magazynów, łazienek i innych domów mieszkalnych; dwie studnie okrągłe, cembrowane dziś jeszcze pełne są wody. Niektóre domy były opalane i to nie inaczej jak z pod spodu, za pomocą tak zwanych hipokaustów, czyli kanałów piecowych pod podłogą; tak samo ogrzewały się i łazienki. Pod werandą widać ogromną płytę kamienną: wszelkie jest prawdopodobieństwo, że stał tu wielki posąg jakiś.

Kilkakrotny rabunek i pożar zniszczył wszystko, co było nie z kamienia, gliny lub metalu. Przechowało się jednak mnóstwo naczyń glinianych (niektóre zupełnie całe), mnóstwo kamieni i cegieł z napisami (najczęściej legion XXII wspominany), pełno szkła w kawałkach, bardzo wiele dachówek, monet, narzędzi i sprzętów żelaznych, miedzianych, mosiężnych, młyny i żarna itd. Na cegłach, które, jak widać, robiono na miejscu, przechowały się odciski stóp ludzkich nagich i obutych, psów, świń, sarny, wilka i jakiegoś dziś tu już nie spotykanego zwierzęcia.

Zabudowania po za wałami dały się też w znacznej ilości na światło dzienne odsłonić. Są to przeważnie niewielkie domki, zapewne przekupniów i handlarzy. Grobowce (była to epoka palenia ciał) składają się z grup obok leżących kilkudziesięciu lub kilkuset niewielkich dołków czworobocznych, murowanych lub kamieniami wykładanych; w nich spoczywają popioły ludzkie, zmieszane z popiołem i węglami stosu; w niektórych znajdują się niedopalone szczątki kości. W jednym małym grobie, oczywiście dziecinnym, znaleziono zabawkę, konika z gliny. Kamienie grobowe przeważnie bez napisów. Te, które mają napisy, w znacznej ilości zgromadzono w muzeum homburskiem; kilka wmurowano do ściany zamku tamecznego, a niektóre do domu t. z. grobowego, który zbudowano tuż przy grodzisku.

Muzeum homburskie, jak powiedziałem, urosło nagle i stale się niezmiernie ważną skarbnicą, ważną szczególnie do studyów nad życiem domowem i nad stroną techniczną kultury rzymskiej; największą zaletą jego jest to, że każdy przedmiot znajduje się w ogromnej ilości egzemplarzy i że ogół zbiorów daje obraz trzechwiekowego okresu. Sprzęty domowe, uzbrojenia, zamki, klamry, gwoździe, ostrogi, klucze, amfory, szkła, monety, dachówki, lampy itd. — wszystkiego tego po kilkaset okazów. Na niektórych naczyniach widać odcisk swastiki, krzyża przedchrześciańskiego; na innych znowu ryby; toż samo i na naczyniach szklanych: stąd domysł, że pomiędzy żoł-

---

upoważnia do bliżeń, nie zdołał więc od nich ustrzedz godności swojej.

Przez czas jakiś pozostał bez ruchu i głosu, jakby nad czemś rozmyślał głęboko, lub pracował nad uspokojeniem wewnętrznej burzy. Potem odbyła się w nim przemiana jakaś, wstrząsnął ramiona, a z piersi wydobył się ciężki oddech czy westchnienie.

— Ha! — wyrzekł przez zaciśnięte zęby. I zrobił ruch taki, jakby wszystko już było mu obojętnem na świecie, jakby zwyciężała go jakaś potęga, której opierał się dotąd.

Przez kilka dni następnych wsiadając do wagonu, z pewną trwogą szukałam oczyma pana Hieronima, bo lękałam się czy w skutek owego zajścia nie utracił posady.

Ale kuzyn naczelnika ruchu okazał się wspaniałomyślnym, albo też tylko próżną groźbą, chciał sterozyzować biednego konduktora, zajście nie miało żadnego widocznego następstwa.

Jednak od dnia tego pan Hieronim okazał się zupełnie innym człowiekiem. Był niby ten sam, a odmienny, jakby coś w nim zamarło, coś istnieć przestało. Przybyło mu od razu kilka lat wieku, nigdy płomień żaden nie zabłysnął odtąd w jego źrenicach, czoło nie rozjaśniło się wyrazem pogody, dumy, godności własnej. Czuł zapewne, że utracił do nich prawo.

Nie mogłam się nawet dowiedzieć, czy chore dziecko wyzdrowiało, czy umarło, bo pośpiesznie dawał mi bilet, nie zwracając na mnie uwagi, nie podnosząc oczów, jakby widok mój sprawiał mu przykrość i lękał się usłyszeć mego głosu.

Odtąd wyglądał już zawsze na pognębionego starca, w którym troska gryzła powoli wszystkie ludzkie uczucia, aż je ostatecznie strawiła bez śladu. Kiedy pochylony naprzód, pod smutnem zimowem słońcem, kiedy zbladłe wargi poruszały się, wypowiadając konieczne tylko wyrazy, a ręce zanurzały się w torbie z pieniędzmi, zawieszonej na piersiach, widziałam jak ręce te drżały konwulsyjnie i przychodziło mi na myśl, że on miał dzieci i tylko trzydzieści rubli miesięcznej płacy. Złote obrączki znikły jedna po drugiej z jego ręki, naprzód rozstał się z własną, a potem w dni parę z maleńkiego palca znikła pamiątka po żonie.

Raz na placu Trzech krzyży spotkaliśmy tę samą bladą dziewczynkę, w tym samym krótkim zrudziałym paltociku, w czarnej chustce na głowie. Czekała ona widocznie na ojca. Był to właśnie koniec miesiąca, zdawała się więcej jeszcze wynędzniałą a w oczach jej wyraźnie błyszczał głód.

Konduktor obejrzał się teraz, że niema kontrolera, podał jej rękę, postawił obok siebie na platformie, gdzie właśnie byli sami. Ona szeptała mu coś długo — żałośnie, on stał z brwiami ściągniętemi, jakby zgubiony w myślach, jakby toczył sam z sobą walkę ostatnią. Można było sądzić, że nie słuchał co mówiła, tylko czasem powieki jego zadrgały, fala krwi przeszła po czole, dreszcze przebiegły ciało, potem szybko gorączkowo zanurzył rękę w swej torbie, wydobył parę sztuk drobnej monety, dał je dziewczęciu jakby mu dłoń paliły i pośpiesznie wysadził ją z wagonu.

Przez okno widziałam wszystko, on to spostrzegł, płomienny rumieniec oblał mu czoło spuszczone, ale podniósł je wnet z rodzajem urągania.

— Ha! — wyrzekł znowu, z odcieniem głosu, w którym drgał sarkazm rozpaczy, ha! I rzucił rękami, jak to czyni topielec chwytający się deski zbawczej na głębinie, gdy ta mu się z rąk usuwa.

Teraz zaczął przeglądać wsiadających i wysiadających z wagonu, nie z prostą uwagą, jak to czynił dawniej, ale z jakimś przebiegłym wyrazem, jakby badał ich usposobienia a gdy jeden z przejezdnych wysiadł w połowie kursu, on nieznacznie wyciągnął rękę po jego bilet, i bilet ten dał potem komu innemu.

Odtąd czynił tak zawsze, często zapominał wydawać reszty i wydając mylił się na swoją korzyść. Powoli z czoła jego zniknął wstyd, z oczów szlachetna duma. Sterany, sponiewierany był już tylko cieniem dawnego człowieka.

Można mu było teraz ubliżać bezkarnie, znosił pokornie obelgi, żarty, szyderstwa, których mu nie szczędzili wyrzyskiwani, jak głodny pies znosi razy — bez szemrania.

Walerya Marrené.

nierzami byli wyznawcy kultu indyjskiego i chrześciańskiego: wiadomo bowiem, że pierwsi chrześcianie symbolem ryby wyrażali Jezusa (wyraz ichthys, oznaczający po grecku rybę, składa się z pierwszych głosek słów: Jezus Chrystus boży syn).

Wśród tych zabytków rzymskich, u samego wnijścia do sali muzealnej stoi ruleta, przeniesiona tu na wieczną rzeczy pamiątkę z wielkiej sali kurhauzu, w której tyle ongi dramatów pieniężnych się odegrało, ile dziś jeszcze w Monaco się odgrywa...

Otóż i koniec prawie listu, a zamiast nowin niemieckich, częstuję czytelnika starożytnością rzymską. Proszę wybaczyć; ale w powietrzu czuć już zapach ogórków, a więc i pory ogórkowej, pory, w której korespondenci pisują o wężu morskim i o uniwersytecie dla kobiet; wolałem uwagę waszą zająć czemś mniej efektownem, ale za to pożyteczniejszem, a przynajmniej pewniejszem...

O czemże zresztą pisać pod smutnem wrażeniem losu więźnia magdeburskiego? Może o małżeństwie księcia darmsztackiego z hrabianką Czapską, *primo voto* Kołomin? O tem wiecie zapewne więcej niż potrzeba z dzienników. Może o Angra-Pequennie? I o niej wieści was już zapewne doszły. Życzmy więc „glückliche Reise" naszym kochanym sąsiadom; niech im tam będzie dobrze; niech będzie lepiej i cieplej, niż na jałowych i zimnych płaszczyznach wielkopolskich.

Piszą, że Pasteur wynalazł niezawodne lekarstwo na wściekliznę. Czemuż się nieco z tem nie pośpieszył? Kilka kropel tej panacei jakżeby zbawiennie podziałało na wściekłość *N. Pressy* wiedeńskiej, z jaką się na nas rzuciła nazajutrz po wyroku na Kraszewskiego, a także na zapamiętałość nisko i wysoko postawionych donosicieli.

W jednym z poprzednich listów moich wspomniałem o piśmie pastora Krausego przeciw tutejszemu historykowi filozofii, sławnemu K. Fischerowi. Odpowiedział on napastnikowi w *Allgemeine Zeitung* (NN. 148 i 149) i to w taki sposób, że wątpię, aby niepowołany objaśniacz Kanta miał znowu ochotę porywać się na profesora heidelberskiego.

Maj przynosi zwykle uroczystości muzyczne. Cały cykl koncertów i przedstawień scenicznych dopiero co się zakończył w Wejmarze; a oto zapowiadają znowu na zielone świątki doroczny koncert trzydniowy w Düsseldorfie; na pierwsze dni lipca ogromną uroczystość w Moguncyi, w której ma wziąć udział 1,100 wyraźnie tysiąc sto śpiewaczek i śpiewaków; a potem przez cały lipiec obiecują *Parsifala* w Bayreucie i jeszcze zjazd muzyczny w Hamburgu.

Magazin für die Literatur des Auslandes w ostatnich dwóch numerach zajmuje się piśmiennictwem polskiem. P. Nitschmann, znany autor historyi literatury naszej, rozpisuje się o najnowszych utworach naukowych polskich, szczególnie z zakresu dziejów; artykuł wygląda na suchy katalog księgarski, przystrojony mnóstwem przymiotników bardzo pochlebnych; ani krytyki, ani oceny gruntownej w nim niema. Inny znowu literat powiadamia o najnowszych utworach powieściowych, lecz również w sposób niezadowalniający; sąd o Jeżu np. zupełnie bezzasadny i fałszywy: wygląda tak, jak gdyby autor czerpał swe świadomości z trzeciej ręki i był pod wpływem jakiejś zaściankowej koteryi.

Dla lingwistów parę nowin: po dobrym świeżo ogłoszonym podręczniku sanskrytu prof. Bühlera, ułożonym na wzór znanych przewodników Robertsona, otrzymujemy umiejętnie dobrane wypisy sanskryckie prof. Lanmana, amerykanina; dodany do nich starannie opracowany słownik byłby prawdziwym skarbem wiadomości porównawczo-językoznawczych, gdyby pod wielu względami nie był niepewnym i przestarzałym; wkrótce ma się ukazać niemieckie wydanie tej książki, z poprawionym wedle najnowszych badań zasobem porównawczym. Otrzymamy też niebawem obszerny słownik litewsko-polsko-rosyjski pana Juszkiewicza z Kazania, przejrzany przez prof. Baudouina de Courtenay. Słownik ukraiński Żelechowskiego posuwa się powoli naprzód: doszedł już głoski N.

Zdanie sprawy z pamiętników Heinego odłożyć muszę do listu następnego. Oczekiwaliśmy wiele, znaleźliśmy w nich bardzo mało: tylko okruszyny i urywki.

Jan Karłowicz.

ZJAZD HISTORYCZNO-LITERACKI

imienia Kochanowskiego.

Kraków, 1 czerwca.

Pierwszy zjazd historyczny imienia Długosza (w r. 1880) zakończono uchwałą, iżby za lat kilka odbył się wiec badaczów przeszłości w najszerszem tego słowa znaczeniu. Ponieważ w przeciągu lat czterech w ogólnym stanie i kierunku nauki historycznej żadna szczególniejsza nie zaszła zmiana, uznała przeto Akademia Umiejętności w Krakowie za rzecz stosowną zgromadzić uprawiaczów dziejów literatury i dać im w ten sposób możność rozważenia zasadniczych w tej dziedzinie kwestyj. Zdaniem komitetu, urządzającego zjazd, w dotychczasowych pracach nad historyą literatury polskiej „brak częstokroć umiejętnej metody, brak należycie pojętego i widocznie pokazanego związku między tym lub owym pisarzem czy dziełem a współczesnymi wypadkami i całym historycznym stanem narodu; brak jeszcze częstszy rozpoznanego i wskazanego wpływu wyobrażeń, dzieł i autorów obcych..." Dodawszy do tego „rzadkość a nieraz brak zupełny dobrych i każdemu dostępnych zbiorowych wydań najznakomitszych nawet pisarzy;... pewien brak krytyki i skłonność do powtarzania raz przyjętych sądów w ocenianiu dawnych czy nowszych dzieł, pisarzy lub okresów" — przeświadczyć się łatwo, „że jest nietylko na czasie, ale pilno potrzebnem we wspólnej naradzie roztrząsnąć stan i potrzeby nauki, a za wspólnem porozumieniem oznaczyć kierunek prac i starań, któremi dopomódzby jej można." Na ogólnem zebraniu członków komisyj historycznych Akademii uchwalono, iżby „jubileusz Jana Kochanowskiego oświecał swoim pogodnym blaskiem zjazd historyczno-literacki, rozpatrujący właśnie te wszystkie cywilizacyjne i historyczne czynniki, które w poezyi wieszcza z Czarnolasu znalazły tak doskonały wyraz," umocowany zaś do urzeczywistnienia powziętego zamiaru komitet, złożony z przewodniczącego prof. Tarnowskiego i członków: Bobrzyńskiego, Morawskiego, Siedleckiego i Wisłockiego, przesłał zaproszenia do wybitniejszych pisarzy i nauczycieli literatury. Na posiedzenia przeznaczono 28, 29 i 30 maja; za przedmiot obrad wzięto drukowane referaty niektórych z uczestników.

Po nabożeństwie (?) w kościele uniwersyteckim św. Anny, d. 28 o godzinie 11 w pięknej sali Muzeum narodowego (w Sukiennicach) odbyło się publiczne posiedzenie Akademii. Po urzędowych zaś przemówieniach: hr. Potockiego, jako zastępcy jej protektora, prezesa Majera i sekretarza Tarnowskiego, dr. Estrejcher odczytał rozprawę złożonego niemocą Małeckiego o młodości Kochanowskiego, po południu zaś, o godzinie 1-ej odbyło się pierwsze posiedzenie zjazdu. Na prezesa powołano Jarochowskiego, na wice-prezesów: Spasowicza i Węclewskiego, na sekretarzy: Pilata, Chmielowskiego, Ćwiklińskiego i Morawskiego.

Pierwszy wystąpił Tomkowicz z referatem *O potrzebie rozpatrzenia się w zbiorach kazań średniowiecznych zwłaszcza pasyjnych, nagromadzonych po bibliotekach polskich, opracowania ich i częściowego wydania jako materyału do odtworzenia obrazu zaginionej prawie literatury dramatu kościelnego czyli misteryów w Polsce.* Z zabierających głos w tym przedmiocie jedni wątpili o możności odtworzenia misteryów z kazań, inni znowu uważali to za rzecz możliwą i zaznaczali jednocześnie potrzebę zbadania średniowiecznych hymnów kościelnych. Referat prof. Kazimierza Morawskiego p. t. *Wskazówki dla poszukiwania źródeł humanizmu polskiego* wprowadził dyskusyę na Ostroroga; Pilata *Jak należy wydawać dzieła polskich pisarzów XVI i XVII w.* potrącił sprawę odtworzenia zepsutych tekstów, dodawania do nich objaśnień językowych i rzeczowych, żywą zaś wywołał dyskusyę, jakiej ortografii należy używać w pomnikowych edycyach dawnych pisarzy. Bobrzyński mówił *O rozszerzeniu historyi literatury politycznej polskiej w głąb średnich wieków* i radził: 1) zbierać wszelkie wzmianki w pismach prawniczych i politycznych obcych i stwierdzić, kiedy do Polski się dostały lub w niej przez odpisy się rozszerzyły. 2) Zbierać rękopisy, w których się dochowały pomniki naszej literatury politycznej średnich wieków. 3) Wysuwając na pierwszy plan traktaty naukowe, nie pomijać pomników mniejszych, jak mowy i listy polityczne. Według referenta historya naszej literatury politycznej powinna nam wytłomaczyć: a) każdą teoryę polityczną Zachodu, kiedy się do nas i w jaki sposób dostała i jakie u nas w pomnikach piśmiennictwa przeszła koleje; b) każdą z osobna teoryę polityczną, która u nas powstała, w jaki sposób to nastąpiło i jakie były jej losy w ruchu naukowym Zachodu; c) jaki był wpływ literatury politycznej na stosunki państwa i społeczeństwa polskiego w średnich wiekach; d) z jakim zasobem pojęć i wyobrażeń politycznych wstąpił naród polski w okres nowożytny swoich dziejów, z czem musiał się liczyć, gdy przed nim w końcu XV wieku stanęło zadanie nowej budowy społecznej i politycznej. Niewiele się nadawało do dyskusyi opracowanie Czernego, *O wpływie wielkich odkryć geograficznych na Polskę i jej oświatę w XVI wieku,* budził za to rozprawy referat Rostafińskiego *O wpływie życia ziemiańskiego na literaturę XVI wieku.* Najciekawszymi, zdaniem naszem, były referaty warszawian: Chmielowskiego: *Jak należy traktować utwory poezyi ludowej w historyi literatury polskiej* i Chlebowskiego: *Znaczenie różnic terytoryalnych, etnograficznych i związanej z niemi odrębności ekonomiczno-społecznych, politycznych i umysłowych stosunków dla naukowego badania dziejów literatury polskiej.* Chmielowski zasadnie bardzo wnosił: 1) w wykładach i opracowaniach historyi literatury polskiej zarzucić zupełnie rozbiór utworów ludowych, jako mniemanych zabytków przedchrześciańskich, a podać ich charakterystykę tam, gdzie się objawił widoczny ich wpływ na literaturę, a więc w wieku XIX; 2) o tych utworach ludowych mówić w wykładzie i opracowaniu poetyki dla objaśnienia stosunku poezyi samorodnej do kunsztownej; 3) w historyi literatury zużytkować utwory ludowe jako materyał do zarysowania etnologicznych właściwości narodu, jak niemniej jego fantazyi, gdyż one to stanowią podstawę dalszego rozwoju; 4) zabrać się do krytycznego opracowania tego, co dotychczas w dziedzinie twórczości ludowej zgromadzono; 5) ażeby ku tej pracy zachęcić, trzeba na pojedyncze jej części ogłaszać konkursy. Według Chlebowskiego, „odrębność fizycznych, społecznych i umysłowych warunków, pod których wpływem wytwarzały się zjawiska literackie, śród rozmaitych części całości pań-

stwowej dawnej Polski —sprawiła, przy braku wielkiego centralnego ogniska, iż rozwój literatury nietylko co do czasowego przebiegu, lecz i pod względem charakterystycznych znamion treści i formy, przedstawia w każdej prowincyi wydatne różnice i stanowi grupę odrębnych organizmów dziejowych, z których dopiero za dni naszych wytwarza się wielka całość narodowej literatury.“ Odrzucając dotychczasowe podstawy klasyfikacyi autorów i dzieł, a zalecając inne, oparte na warunkach lokalnych i stosunkach dziejowych, wywołał referent gorącą dyskusyę. Żaden z oponentów nie zrozumiał Chlebowskiego dokładnie; za mało referent miał czasu na szczegółowe uzasadnianie swoich pomysłów; nie wątpimy jednak, że prędzej czy później wyjdzie z tej sprawy zwycięsko, że teorya jego, zastosowana do badań nad literaturą naszą, do ważnych doprowadzi wyników. W sekcyi językowej występował Hanusz w sprawie uwzględniania nowszych teoryi gramatyki indoeuropejskiej przy badaniu historyi języka polskiego; Ćwikliński w kwestyi tłomaczenia klasyków, Malinowski przedstawił pracę *O sposobie spostrzegania i zapisywania właściwości mowy ludowej*, czytano także referaty nieobecnego Kaliny. Finałem zjazdu była dyskusya nad rozprawką Tarnowskiego *O stanie obecnym historyi literatury polskiej i jej potrzebach*, orazprojekt Wisłockiego *O podjęciu wydawnictwa biblioteki pisarzów polskich*. Ze zjazdem połączoną została urządzona staraniem prof. Łuszczkiewicza wystawa zabytków z czasów Kochanowskiego; 30 maja przedstawiono w miejscowym teatrze *Odprawę posłów greckich* i *Fircyka w zalotach*. Rezultatów pozytywnych zjazd historyczno-literacki nie przyniósł na razie żadnych i przynieść ich nie mógł. Kwestyj naukowych nie rozstrzyga powaga większości głosów, ani jednomyślność najliczniejszej rzeszy uczonych. Niejedno zdanie banalne, przyjęte oklaskiem, upadnie; dźwignie się za to prędzej czy później pomysł żywotny, choć nie znalazł u większości należytego posłuchu. Pomimo to do zjazdów naukowych wogóle, a w szczególności do odbytego świeżo w Krakowie przywiązujemy wagę dużą. Zbliżenie się ludzi, mających cel wspólny, choć śród najróżnorodniejszych warunków; zamiana myśli, która w pewnych wypadkach tylko przez żywe słowo uwydatnia się jasno; ujawnienie tej jedności, którą ciężkie stosunki życia wciąż psują, już to samo wynik stanowi ważny. Zasługą jest dużą tych, którzy zjazd doprowadzili do skutku i przewodzili w gronie tak licznem, że taktem w postępowaniu i słowach niczyich nie obrazili uczuć, że nie znieważyli nauki tendencyami polityki. Ze względu na moralne korzyści zjazdu wypada żałować, że Warszawa dostarczyła zaledwie sześciu członków (Chmielowski, Chlebowski, Kraushaar, Przezdziecki, Smoleński, Szymanowski), nie więcej Lwów, a Poznań jednego Jarochowskiego.

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Gdy przed kilkunastu laty grono młodych pisarzy wypowiedziało pierwsze hasła nowego, postępowego kierunku, gdy zadrgały żywotne głosy, nawołujące do trzeźwej, energicznej pracy, wtenczas ozwały się także pierwsze dźwięki liry Grudzińskiego tonem młodzieńczego zapału. Nie idąc za całą rzeszą roztkliwionych, jęczących wieszczyków, którzy kwilili na stare nuty zatopieni w „melancholii mglistej i lubieżnej“ i okrywali się szmatkami wyszarzanego romantycznego płaszcza, zawołał on donośnie: „fiat lux!“ a z głową podniesioną w górę głosił świtanie nowej jutrzni przyszłości, która spłynie na promieniach wiedzy, jak archanioł gniotący szatana przesądu. W poezyach jego, przepełnionych uczuciowym liryzmem, drgały zrazu żywotne godła chwili, widać było wrzenie umysłu młodego, który chciał krążyć nowemi ścieżkami. W dalszym jednak rozwoju Grudziński nie stanął w szeregu przedstawicieli wyraźnie postępowego prądu i niepodległości myśli, rozpętanej z tradycyjnych kajdan. Nadużyte w swoim czasie hasło pozytywizmu nieprzypadało do jego uczuciowo-idealnej natury, do spokojnego i łagodnego umysłu, do rodzaju zdolności literackich, w których przeważał zawsze żywioł etyczny i uczuciowy, poparty na obserwacyi czasem wiernej i dobrej, ale nigdy śmiałej i bystrej. Żywsze prądy postępowego zapału udzieliły się wrażliwej jego naturze z ówczesnej atmosfery, wytworzonej przez pokolenie dojrzewające krytycznie po ostatniej zawierusze. Nie był Grudziński człowiekiem walki, której hasła głosił zrazu tak gorąco, nie był powołany do torowania nowych ścieżek, ani podważania rumowisk dźwignią krytycyzmu, ale oddał się działalności beletrystycznej i zwykłym pracom dziennikarskim. Z młodzieńczych jego utworów, oprócz *Idealisty*, nacechowanego fermentem pragnień nieokreślonych, należy wyróżnić poemat *Dwie mogiły*, osnuty na tle legend ukraińskich, przejęty duchem tej głębokiej, rzewnej a namiętnej tęsknoty, która brzmi w pieśniach maloruskiego ludu, nastrojony na ton epicznego rapsodu. W wielu drobniejszych utworach i powiastkach poetycznych śpiewał na tę samą nutę a jego *Powieści ukraińskie* wyróżniają się ze wszystkich większych płodów barwnością, kolorytem, obrazowaniem wcale żywem i widoczną znajomością opisywanych stosunków. Ponieważ u nas ukrainofilstwo wyszło z mody, dla bardzo łatwych do zrozumienia powodów, tak, że nawet tęskne dumki Bohdana mało komu przemawiają do duszy, nic więc dziwnego, że pełne zalet powieści Grudzińskiego, malujące dość wiernie obyczaje ukraińskie, zyskały daleko więcej uznania u obcych, że przyswojone zostały w starannych przekładach literaturze czeskiej i niemieckiej. Grudziński schodził tu na grunt bardziej realny, nie tworzył na kształt Zaleskiego Ukrainy z cukru, nie zdobył się także na silny, gorący koloryt Goszczyńskiego lub Szewczenki, dając dość wierne obrazy obyczajowe, przyprawne uczuciowością i liryzmem. Jako belletrysta odznaczał on się łatwością tworzenia, tonem szlachetnym i spokojnym, idealną i dodatnią dążnością, pewnym wreszcie stopniem plastyki w robocie charakterów i budowie, ale talentowi jego brakło zawsze męskości, siły i daru skupiania rysów w dosadną wyrazistość. Jego powieści współczesne (*Łokieć i miarka*, *Wbrew opinii*) posiadają wiele cech bieżącego, socyologicznego kierunku. Duch umiarkowanie demokratyczny, godzenie sprzecznych żywiołów społecznych, nawoływanie do użytecznej pracy, walka z kastowemi i stanowemi uprzedzeniami, przewaga tradycyjności i etyki — oto ich znamiona naczelne, które jednają autorowi prawo do szczerego szacunku. Nie miał on tej siły, która porywa i panuje nad uwagą czytelnika, grzeszył często nadmiarem wielosłowia, ale, bądź co bądź, pracował dla żywotnych zagadnień chwili, nie grzeszył schlebianiem wstecznym nałogom i wyzyskiwaniem tuzinkowych gustów. Zresztą na umyśle i talencie jego odbiły się wpływy tej fizycznej niemocy, która go przedwcześnie w 33 latach życia zepchnęła do mogiły. W ostatnich początkach tłomaczy się nawet szczerze a rzewnie, dlaczego umysł jego wbrew młodzieńczym porywom nie kroczył śmiało, dlaczego on, niegdyś śmiały rzecznik tryumfów wiedzy, zwraca się zbłąkaną i smutną myślą tam, skąd płynie nadprzyrodzone źródło pociechy dla dusz znękanych i zbolałych. Cały kierunek jego działalności tchnął umiarkowanym duchem liberalizmu, był pośrodkowym, godzącym, i chylił się ku zachowawczemu odłamowi prasy, do którego należał *Tygodnik powszechny*, redagowany przezeń lat kilka starannie, ale niedość ruchliwie. Stanowisko takie wynikało z jego natury łagodnej a spokojnej. Grudziński nie odczuwał w prawdzie najbardziej palących zagadnień i prądów chwili, ale nie był handlarzem słowa, łamiącym swe przekonania i frymarczącym literackiem sumieniem. Nie zajął on w gronie młodych pisarzy stanowiska odrębnego i wybitnego, ale był pracownikiem sumiennym, niestrudzonym i umiał cenić godność swego powołania. Niezaplątany w koteryjne małostki, ani w koło towarzystwa wzajemnej admiracyi, skromny i cichy, pracował on mozolnie, wytrwale zwyciężając wysiłkami umysłu niemoc fizyczną, która do ostatniej chwili nie wytrąciła mu pióra z ręki. Nad świeżą mogiłą żegnamy go słowem uznania dla zdolnej, uczciwej i wytrwałej pracy i serdecznem wspomnieniem należnem człowiekowi, który w ciężkich próbach losu nie zaćmił kryształowej czystości charakteru.

K.

TEATR.

Gęsi i gąski, komedya w pięciu aktach M. Bałuckiego.

Młoda panienka przypina na scenie kwiatek do stanika wystrojonej i wytynkowanej cioci i przeprasza ją przelękniona za ukłucie. — Ach, ciociu—woła—wbiłam całą szpilkę! Dopiero po chwili podżyła dama spostrzega, że gdyby nie pomagała watą kształtom swej postaci, to ukłucie bardzo by ją bolało—i syczy gniewnie. W sali teatralnej panienki spuszczają oczy, dystyngowane damy chowają półuśmieszek pod wachlarzem, a w górnych sferach wylewa się fala homerycznego śmiechu. Co kilka chwil paroksyzm wesołości się powtarza, gdy autor strzeli jakimś żwawym konceptem, aktorowie zaś wyzyskają niektóre szczegóły w sposób dosadny, tworząc ucieszne efekty. Sztuka płynie gładko, słucha się przyjemnie, bawi, śmieszy i utrafia akurat w rdzeń mieszczańskich gustów. Będzie miała powodzenie — tak wyrokują biegli — a to dziś rzecz niełatwa. Nawet przesadzone w kolorycie i rysunku z francuskim sprytem dramaty cudzołóstwa mają dziś na scenie dni motyle, o arcydziełach przeciętna, łakoma na śmiech publiczność słyszeć nie chce, od dramatu historycznego ucieka. Bałucki posiada jednak dziwny sekret przyciągania naszego grymaśnego a mocno pod względem artystycznym niewyrobionego ludku. Śmieją się, biją brawo, a Zoile, zachowujący sobie zawsze ostatnie słowo wyroku, kiwają głowami i potakują sądowi ogółu, nad którym lubią podnosić głowy, zdobne proroczą powagą.

Ale przypatrzmy się bliżej utworowi. Przewija się szybko i ruchliwie gromadka znanych postaci: poczciwy hreczkosiej, o krewkim temperamencie, wiecznie zaniepokojony sprawami gospodarstwa; jego żona, dobroduszna i potulna kobiecina, zajęta ciągle kuchnią i drobiem; ich córeczka—prosta sobie dziewczyna, wesoła i dobroduszna; ciocia Belcia, pretensyonalna elegantka, pełna „fumów“ pańskich; pan Figurkowski, potulny mąż-pantofel, myślący o strojach żony lekkomyślnej, która cel życia widzi w gałgankach; znany z tylu komedyj dobroduszny pedagog; jego córka, panna w miarę rozumna i przyjemnie samodzielna; pan Pantaleon Durnicki, wiedeński frant i szlifibruk; poczciwy i wesoły pan Hulatyński, młody szlachcic z fantazyą i do-

brem sercem; nareszcie pan Marzycki, z miękkiej papki ulepiony kochanek. W imieniu tak szlachetnego sentymentu, jakim jest tkwiący podobno w osierdziu zapał dla płci nadobnej, musimy trochę pogderać na autora za jego szablonowe, mazgajowate figury kochanków. Panie Michale, czy na to masz dar bystrej obserwacyi, abyś dawał nam przedstawicieli *erosu* tak ulanych według starego, nudnego modelu? Ręczę, że pretensyę naszą podziela p. Prażmowski, urzędowy przedstawiciel sympatycznych „narzeczonych,“ który pewno pragnie, aby choć raz mógł być inaczej przyjemnym i miłym. I inne postacie nie grzeszą nadmiarem oryginalności, wyjąwszy chyba tylko ciocię Belcię i pana Pantaleona, których autor hojniej obdarzył w dobrze uchwycone, komiczne rysy. A jednak trudno zaprzeczyć, że pomimo braku naprawdę oryginalnych postaci sztuka nie jest martwą, ani banalną. Nie ma tu zawile obmyślanej akcyi, zręcznie zawiązanej i rozwiązanej intrygi, jednakże autor umie tak dowcipnie zestawiać figury, ukazywać je w żwawych skróceniach, chwytać zabawne szczególiki, wyzyskać zręcznie komizm postaci ze względu na perspektywę, umie wreszcie zapełnić scenę bieganiną, konceptem, niespodzianką, a nadewszystko wprowadzić słuchacza w świat swojski, rodzimy, owiać go sympatyczną atmosferą. Państwo Kłopotkiewiczowie, poczciwi dzierżawcy, są tu prawdziwie ofiarami wiejskiej gościnności. Do ich cichego domku zjeżdża na lato krzykliwa chmara mieszczuchów, którzy przewracają ład do góry nogami, narzucają swe fantazye i chimery, nadużywają ich potulnej dobroci. Ciocia Belcia rządzi się jak szara gęś, chce zerwać już ułożone małżeństwo, forytując swojego konkurenta; pani Figurkowska puszcza się na skandaliczny romansik z wiedeńskim głuptasem, w końcu jednak p. Kłopotkiewicz, do żywego dotknięty, bierze na kieł, ciocia Belcia po ataku spazmów rejteruje a komedya kończy się nietylko dwoma sklejonemi małżeństwami, ale komicznym konceptem. Doktór Figurkowski, dowiedziawszy się o ucieczce swej żony z młokosem, prosi obecnych, „aby o tem nie mówili nikomu, bo by to ją mogło skompromitować.“

W łupinie komizmu tkwi tu jądro gryzącej satyry na męskie niedołęstwo, pozwalające się panoszyć kobiecym słabostkom i niskim popędom, cechującym gatunek „gęsi“ śród ludzkiej menażeryi. Autor cechy tego gatunku widzi nietylko w głupiej wiejskiej dziewczynie, o czerwonych rękach i burakowych policzkach, jąkającej się, ograniczonej i niezgrabnej, ale we wszystkich wogóle osobnikach żeńskiego rodu, które żyją tylko niskimi i poziomymi instynktami, nie znają żadnych szlachetniejszych pragnień, toną w plotkach drobnych, małostkach i narzucają całemu otoczeniu swój płaski i dokuczliwy często egoizm. Mniejsza o to, czy B. właściwie nazwał takie kobiety gęsiami, to pewnajednak, że bardzo trafnie uchwycił rodzajowe cechy danego niewieściego gatunku, mnożącego się we wszystkich warstwach społecznych, gdzie nie drga wpływ lepszej kultury umysłowej, a płytkie i powierzchowne wychowanie robi z kobiety albo wykrygowaną na sprzedaż lalkę albo bezmyślną wietrznicę. Małoduszność i przecenianie własnej wartości, te dwie wady tak pospolite u kobiet naszych, rozrastają się jak bujne chwasty pod działaniem ujemnych wychowawczych tradycyj. Dziś, gdy dzięki nowym żywiołom, wprowadzonym do życia i wychowania kobiet, wzniósł się znacznie ich poziom umysłowy, gdy tworzą się zupełnie nowe dodatnie i ujemne typy, gatunek „gęsi,“ jeszcze dość obfity, przedstawia się w wydatniejszym kontraście. Wyzyskał go zręcznie autor, który w przeciwieństwie do kilku okazów gęsi skreślił sympatyczną sylwetkę panny samodzielnej, wykształconej, miłej, energicznej, która umie połączyć praktyczny i trzeźwy kierunek umysłu z wdziękiem kobiecym, umie śmiało spoglądać w oczy zagadkom życia, jest, jednem słowem, prawdziwie „postępową,“ bez pretensyonalnego szastania się, doktrynerskiej sztywności lub komicznie reformatorskich tonów. Satyra sztuki tkwi pod powłoką zdrowego a rubasznego komizmu, wydobytego z drobnych powszedniości życia. Szkoda tylko, że sama treść jej dość nikła nie wystarcza na pięć aktów, że autor z początku mnożył szczegóły i szczególiki tak pospolite, jak np. zabiegi Kłopotkiewicza, zajętego zewnętrznem ochędóstwem koło swojej osoby. W każdym razie *Gęsi i gąski* pisane bezpretensyonalnie, z wielką sceniczną zręcznością, chociaż nie mają głębszej treści psychicznej, ani etycznej i potrącają często o farsę, są mozajką scen żwawych, ucieszrych i stanowią dowód żywotności iście scenicznego talentu, dzięki któremu możemy zadowolić potrzebę zdrowego śmiechu, nie uciekając się do francuskich fabrykatów. P. Bałucki w ostatnich utworach dowiódł wzmocnienia swego daru obserwacyjnego w kierunku komicznym i wydoskonalenia techniki, które to przymioty dziś czynią go jednym z najpopularniejszych pisarzy i każą się spodziewać, że żywym zdrojem zasilać będzie dość leniwie płynący strumień repertuarowy.

Nic dziwnego, że gra artystów tryskała życiem i werwą, gdyż utwór pozwalał im żyć w ruchliwej sferze i dawał materyał do komicznych pomysłów. Najmłodszą gąskę oddała szczęśliwie panna Czaki, która dobrze przeprowadziła zmianę wewnętrzną swej postaci, a gra jej, zbyt szorstka z początku, wypiękniała pod koniec zupełnie. Pani Niewiarowska, jako ciocia Belcia, miała niewłaściwe dla swego talentu zadanie, gdyż odtwarzała postać niedystyngowaną z pretensyami do dystynkcyi, ale grała swą rolę i szlachetnie i charakterystycznie. Pani Lebrun, chociaż nie uwydatniła ujemnych rysów Figurkowskiej, była szykowną i ożywioną, p. Ładnowska i p. Rakowska uboczne rolki wykończyły starannie. Z mężczyzn jeden tylko p. Wolski, pomimo wrodzonego komizmu, nie mógł uchwycić typu wiedeńczyka, nie znając żywych jego wzorów; pp. Ostrowski, Rapacki i Tatarkiewicz prześcigali się wzajemnie w pomysłowości i humorze, potęgując często własnymi środkami komizm sztuki; p. Chomiński ciepło oddał spospolitowaną postać pedagoga, a p. Galasiewicz w epizodowej roli Janka był bardzo zabawnym parobczakiem, wpędzonym do lokajstwa, które sprawował z pocieszną niezaradnością. Całość przedstawienia nie była, jak się u nas często zdarza, zlepkiem niezdarności i popisowego artyzmu, ale drgała jednością wewnętrznego życia i nęciła harmonią tonu.

S. K.

LIBERUM VETO.

Róg obfitości Fortuny. — Ekshumacya sprawy Kamińskiego. — Woń „Schweiggeldu.“ — Rozpostarcie zarzutu. — Wykopywanie winowajców. — Nowy komentarz do sprawy Kraszewskiego. — Kradzież jako uprawniony zwyczaj. — Prawdopodobna hypoteza. — Wycinanie polipa. — Manifest pani Zimajer. — Spróchniałe zęby. — Oszczerstwa p. Jana Lama. — Sprostowanie. — Gdzie schweiggeldziści?

Nieszczęścia — jak wiadomo — nie spadają pojedynczo, ale gromadą, a przysłowie to chociaż sto razy się nie sprawdzi, sto pierwszy raz słuszność swą uratuje. Od kilku miesięcy dowodzi ono jej na naszem społeczeństwie. Fortuna wzięła róg obfitości, napełniła go wszelakiem robactwem losu i sypie je na nas: tu Rembertowski, tam Kamiński, tam znowu oskarżenie przeciw Kraszewskiemu itd. a z tych wyparów zbierają się moralne i polityczne mgły, w których oddychać trudno i które przejmują dotkliwym chłodem. Zdawało się, że sprawa Kamińskiego w Wiedniu już pogrzebana a jej prochy puszczono na cztery wiatry. Tymczasem dobyto ją z grobu a przy tej ekshumacyi dała się czuć tak przykra woń „odkryć,“ że nawet ci, co zamknęli oczy, i uszy zatykać muszą. Woń ta jest skutkiem dawnej, ale u nas do niedawna jeszcze nieznanej zgnilizny, którą nazwano „Schweiggeldem“ — zapłatą za milczenie. Czytelnicy przypominają sobie, że poseł Kamiński pozwał przedsiębiorcę Schwarza o należne mu jakoby za „pośrednictwo“ w otrzymaniu koncesyi na kolej kilkadziesiąt tysięcy guldenów, że ta pretensya wyrzuciła go z Koła polskiego i pozbawiła mandatu, a wreszcie oddała pod śledztwo osobnej komisyi. Otóż ta komisya, chociaż przed nią zamknięto wiele, prawdopodobnie szpetnych tajemnic, wykryła, że część pieniędzy (20,000 złr.), po które wyciągnął ręce Kamiński, dostała się dziennikom polskim (galicyjskim) za fałszowanie opinii na korzyść przedsiębiorstwa. Wiem o tem, że takie „Schweiggeldy“ wpływają szerokiemi rzekami do kas redakcyjnych w Niemczech, Anglii, Francyi — wszędzie, że to — słowem — jest podły zwyczaj, z którym przedajna i giętka etyka naszych czasów pogodziła się dawno; nie mniej wszakże ta hańba na naszem czole wydaje mi się okropną. I nie dlatego wcale, że za przykładem organistów sentymentalizmu wierzę w nasze niepokalane poczęcie i zbawicielstwo świata, ale dlatego, że idącym po wąskiej krawędzi nad przepaścią każdy kamyk pod nogami staje się groźnym. Tylo już przeciw nam skłamano oskarżeń, że gdy jeszcze dorzucimy do nich rzeczywiste winy, żyć będzie trudno. Nie należy zapominać o recepcie pewnej postaci Moliere'a, według której z każdego oszczerstwa coś na spotwarzonym zostaje. Tych resztek błota zebrało się już na naszej skórze dużo, cóż będzie gdy się zaczniemy w niem nurzać sami? Dopóki mi sił starczy nie przestanę powtarzać, że moralność jest dla całych narodów nietylko obowiązkiem, ale koniecznością bytu, orężem w walce, siłą w oporze — ma ona takie znaczenie dla wszystkich, a zwłaszcza dla słabych i zagrożonych.

Ażeby łapownicy nie musieli stać pod pręgierzem, ich sromotę w sprawie Kamińskiego rozłożono na całą prasę galicyjską. Komisya nie wymieniła, które redakcye się sprzedały, lecz powiedziała ogólnie, że pewną sumę zapłacono dziennikom polskim. Mam nadzieję, że pisma niewinne postarają się o złamanie obręczy i o wyśledzenie tych, które z krynicy „Schweiggeldu“ jedynie piły. Gadzinki kryją się dziś w norach dyskrecyi tych, którzy gasili ich pragnienie lub badali z urzędu, ale są środki wykopania tego gniazda. „Schweiggeld“ też będzie probierzem honoru prasy galicyjskiej: zobaczymy, czy ona zniesie sromotę do współki z winnymi, czy też ich wyłowi i napiętnuje.

Proces Kraszewskiego nie przestaje dotąd rodzić najrozmaitszych przypuszczeń w pismach naszych i obcych. Pomijając widoczne brednie kalekiej fantazyi lub zapienionej złości, zasługuje na uwagę komentarz *Kuryera Codziennego*, poparty wyjaśnieniami, które nam z Paryża nadesłano. Na pewne domysły wpaść od razu nie możemy, nie mając u siebie odpowiednich stosunków. Trudno też nam było uwierzyć, ażeby Kraszewski dostarczał jakiejś gazecie francuskiej tajemnego materyału wojskowego za tak drogie pieniądze — materyału, który nigdy drukowanym nie był. Jeśli wszakże uwzględnimy różnicę między środkami prasy zagranicznej a naszej — wyda się to nam dość prawdopodobnem.

Dzienniki nasze ryzykują kilka kopiejek od wiersza dla zdobycia wiadomości o podpisaniu kontraktu przez pannę Herman, o przyczynie jakiegoś pożaru lub podwyższeniu podatku, ale reporteryi politycznej nie mają żadnej. Puszczają w obieg to, co im poczta z Niemiec lub Francyi przyniesie. Inaczej za granicą. Tam dzienniki starają się głównie i za wszelką cenę o schwytanie tajemnic politycznych, ażeby je w porę zużytkować i zaimponować dokładnością informacyj. Adwokat Kraszewskiego Saul pominął w swej obronie wiele okoliczności, ale ta stanowi w jego wywodach chyba największą dziurę. W prasie całego świata jest już dziś tolerowanym zwyczajem kradzież sekretów urzędowych: jedna gazeta (angielska) kradnie traktat z Portą o Cypr, druga (węgierska) listy cesarza austryackiego, trzecia (niemiecka) korespondencyę dyplomatyczną w przedmiocie ostatniej wojny tureckiej — mniej lub więcej ważne dokumenty kradzione są codzień na całej przestrzeni prasy, zapełnionej co najmniej w połowie przez usługi, za które Kraszewski poszedł na 3½ lat do więzienia. Ciekawy jestem, czy — prócz urzędowych — jest w Niemczech organ, któryby nie kupił tajemnic gabinetu Bismarka i nie skorzystał z nich? Czemu nie skorzystała owa redakcya, dla której przypuszczalnie pracował Kraszewski? Może dotąd nie uznała tego za potrzebne. Następująca hypoteza wydaje się bardzo prawdopodobną i logiczną. Gdy Gambetta był tylko posłem, nie przestał prowadzić polityki na własną rękę: nabywał gazety, zbierał przez agentów informacye z całej Europy, nawiązywał nici rozległych stosunków — czy więc nie mógł werbować korespondentów, których doniesienia składał w archiwum osobistem lub redakcyjnem do właściwej pory? Naturalnie trudno orzec stanowczo, że Kraszewski był jego współpracownikiem, nieświadomym skutków swej roli i ośmielonym do niej przez panujący w prasie europejskiej zwyczaj, ale domysł taki ma wiele cech prawdopodobieństwa. Bądź co bądź zdrowy rozsądek i fakty wystarczają w zupełności do usprawiedliwienia serdecznego śmiechu, jaki nas ogarnia wobec tego węża morskiego pod postacią polskiej intrygi, który znowu pływa po gazetach, namiętnie ścigany przez żarłoczne rekiny. Ów spiskowy polip, który jakoby oplótł całą Europę i którego jednem z ramion ma być Kraszewski, jest czemś tak pociesznem, że za wesołą chwilę czuję szczerą wdzięczność chirurgom, wycinającym go z chorego na tę narośl łona. Z tą operacyą da się porównać tylko rozrzucony po ulicach manifest pani Zimayer, która nim objaśniła mnie a ja was, czem na scenie obraziła majestat dziennikarski. Rzekła: „jeszcze mnie jaki osioł z *Kuryera* skrytykuje." Obecnie dokonywa się poszukiwanie tego osła, którego nigdzie niema, a którego pani Z. chce wyłączyć z prasy warszawskiej, mocno przez nią szanowanej i przeproszonej. Możemy więc przejść do porządku dziennego.

Stoi na nim p. Jan Lam ze Lwowa, autor humorystycznych powieści, dowcipnych niegdyś kronik, a obecnie od lat kilku prywatnie i półurzędowo wierzgający przeciw ościeniom postępowych pism warszawskich. Zniedołężniałemu fabrykantowi starych konceptów *Prawda* zrobiła kilka uwag. To mu wystarczyło do kąsania nas resztą spróchniałych zębów. W chwilach przytomności, czy nieprzytomności napisał on w kronice, którą z podkreśleniem odpowiedniego miejsca przedrukował *Kuryer poranny*: „*Prawda* z zasady napada ludzi z poza płotu (?) nieprawdziwymi zarzutami i z zasady następnie odmawia im *wszelkiego* (!) zadośćuczynienia." Następnie, dostawszy od nas odprawę, dodał w drugim fejletonie. „Takiego to systemu (bronienia autorów *Wiązanki*) trzyma się wobec młodszych pisarzy ten sam redaktor, który rzuciwszy *potwarze* na p. Piltza nie stanął do pojedynku, któremu następnie nie można było *nic zrobić* (!) w *sądzie rosyjskim*, i którego postępowanie *potępił* dopiero sąd honorowy, gdy jakimś *cudem* udało się *zniewolić* go, aby mu się poddał." Ponieważ w kompromisie zrzekłem się podnoszenia tej sprawy oraz krytykowania świeżo wydanego wyroku, więc tylko policzę ogólnie ilość kłamstw p. Lama. 1) *Prawda* nikogo nie „napada" i nikomu „*wszelkiej* satysfakcyi" nie odmawia, ale zato odmówił jej zamieszczający kroniki lwowskiego potwarcy *Kuryer poranny* w r. 1876; 2) nie zniewalano nas żadnym „cudem" do sądu honorowego, gdyż sami go zaproponowaliśmy; 3) sąd ów postępowania naszego nie „potępił," gdyż uznał: że „p. Świętochowski oparł swój zarzut na podstawie pism i wyjaśnień udzielonych mu przez osoby trzecie, co do wiarogodności swojej niezakwestyonowane;" że „miał w przekonaniu swojem dostateczny powód do niekorzystnej o p. P. opinii," że „działał w dobrej wierze i z pobudek okolicznościami usprawiedliwionych." Jak widzisz zatem, p. Janie Lamie, srodze skłamałeś i dopuściłeś się względem nas oszczerstwa. Sens moralny z tego taki: zamiast wyciągać słuchy do Warszawy, lepiej, szanowny mężu, poszukaj uczestników „Schweiggeldu" we Lwowie a może będziesz szczęśliwszy, „chociaż tajemnica jest zapewniona" i chociaż „w tego rodzaju zleceniach poufnych kwity nie są w używaniu."

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Skutki wiosennego ciepła.—Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.. przemysłu krajowego. — Historya jednego towarzystwa wkladowo zaliczkowego.—Wskrzeszenie *Echa łomżyńskiego*. — Emigracya kurpiów. — Nieprzyjaciel oświaty.—Nowoczesne tortury.

Pewien optymistycznie usposobiony fejletonista cieszy się niewymownie, że z ożywczym powiewem wiosny i ciepła zazieleniło się wszystko naokół i nawet stare, obumarłe drzewo (czytaj: społeczeństwo) puszcza zielone listki i pączki, które niebawem rozwiną się w kwiaty wspaniałe. Nie mam nic przeciw porównaniom botanicznym w socyologii i nawet lubię niezmiernie zieloność, byleby nie w głowach bliźnich moich; pragnąłbym tylko, żeby sposoby badania i opisywania naszej flory społecznej były nieco ściślejsze i dokładniejsze. Wtedy bowiem dowiedzielibyśmy się, że po ciepłym, majowym deszczu nietylko rośliny wypuszczają nowe pędy, ale zarazem wyłażą z ziemi trujące grzyby i bedłki i że nieraz najbujniejsze, najbardziej wabiące oko przepychem swoim kwiaty wyrastają na moczarach i zgniłych trzęsawiskach.

Ot np. nasz przemysł swojski, który — jak powiada trójgłowy Wandalin-Rusticus-Olszewski — wystrzelił w piękny kwiat, pod złudnymi pozorami zwiększenia wytwórczości a więc niby i bogactwa kraju kryje tyle nędzy, że aż strach zajrzeć do jego tajników. W Zawierciu znajdują się liczne zakłady fabryczne będące własnością bogatych kapitalistów. Wyzysk i nieludzkie obchodzenie się z robotnikami doszły tam do tego stopnia, że wywołały wreszcie wmieszanie się władzy, która nakazała śledztwo. Poprzednio już jednak o nadużyciach miejscowej administracyi krążyły głuche wieści; doszły nawet do „centralnego zarządu fabryk Zawiercia" rezydującego w Warszawie, który wysłał na miejsce swego delegata. Sumienny ten człowiek zdobył się na odwagę przedstawienia prawdziwego stanu rzeczy; widocznie jednak zarząd nadużycia wykazane przezeń uważał za rzecz zwykłą, kiedy ze swej strony nie przedsięwziął żadnych kroków do ich usunięcia. Przypatrzmy się więc bliżej tym „normalnym warunkom" położenia ludności robotniczej.

W małych izdebkach sypia na zgniłej podłodze, nawet bez garstki słomy, którą się daje na podściół bydlęciu, 15 do 20 istot ludzkich. Przez dziury w podłodze robią wycieczki szczury i zjadają chleb, schowany pod ławą. Mężczyźni, kobiety i dzieci nocują razem; zdarzało się więc nieraz, że robotnicy gwałcili dwunasto- lub trzynastoletnie dziewczęta, a kobiety małych chłopców, którzy w dwudziestym roku życia wyglądają już jak starcy. Delegat, który wiele lat spędził w ubogiej fabrycznej miejscowości, powiada, że nigdzie nie widział ludności tak upośledzonej fizycznie, tak zepsutej moralnie. Drożyzna wszystkich niezbędnych produktów straszna — i nic dziwnego, bo handel nimi znajduje się w ręku kilku protegowanych przez zarząd fabryki izraelitów. W stosunkach administracyi do robotników panuje nieograniczona niczem samowola: ładniejsze dziewczęta padają ofiarą urzędników i majstrów, wytrącania z zarobku, czyli tak zwane *felery* za prawdziwe lub urojone przewinienia, oszustwa przy wypłacie należności są na porządku dziennym. Ten sam nieubłagany, okrutny wyzysk, ta sama nieludzkość w stosunkach prześladują biednego robotnika nawet w szpitalu, w którym, nawiasem powiedziawszy, doktór i cała posługa składa się z żydów*).

Ta okoliczność, że izraelici gospodarują w Zawierciu, dała pobudkę pewnym pismom do namiętnych wycieczek antisemickich. Rzeczywiście, wskutek pewnych właściwości rasowych wyzysk żydowski jest bardziej konsekwentnym, nieubłaganym, ale wistocie rzeczy niczem nie różni się od wyzysku przedsiębiorców chrześciańskich. Stosunek kapitału do pracy nie jest stosunkiem garbatych do prostych nosów, i wyzysk pozostanie wyzyskiem, czy ubierzemy go w chałat i jarmułkę, czy w palto i kapelusz, czy nawet w kontusz i rogatywkę. Śledzenie w stosunkach ekonomicznych wpływu wystających uszu i zakrzywionych nosów jest tylko zamydlaniem oczów, manewrem puszczonym w ruch, żeby zainteresowana strona nie widziała istotnej przyczyny złego.

Również pięknym, chociaż skromnym kwiatkiem są w oczach wielu kasy wkładowo-zaliczkowe, ale i te niewinne fiołki ekonomiczne kryją nieraz sporą ilość pleśni. Przesadzone na nasz grunt z Niemiec w epoce zachwytów nad sedańskim tryumfem i kiszką grochową rozpleniły się dziś bujnie, ale nie puściły głęboko korzeni.

W miasteczku Rakiszkach przed 7 laty zawiązało się stowarzyszenie wkładowo-zaliczkowe a na członków zarządu wybrano dwóch obywateli i księdza. Panowie ci za wspólną zgodą zaczęli gospodarować funduszami według własnego widzimisię, część tylko udzielając na pożyczki włościanom, resztę zaś przyjaciołom swoim, albo lichwiarzom miasteczkowym, nie w ilości potrójnego wkładu, jak żąda ustawa, ale dziesięć lub dwadzieścia razy większej. Niezadowoleni włościanie zdobyli się na odwagę; postanowili zmienić zarząd i zaprowadzić w urządzeniu kasy rozmaite zmiany. Pomimo nadużyć przy wyborach udało im się usunąć jednego członka, na miejsce księdza wybrano również innego, ale potem w protokóle okazało się, że ksiądz cudem został wybrany. Nie poprzestał jednak zarząd na tem zwycięstwie i zapragnął znowu odzyskać straconego towarzysza. Zwołano więc nowe wybory, a poprzednio rozdano kilkadziesiąt udziałów miejscowym starowiercom, którzy obiecali we wszystkiem popierać zarząd. Wtedy już nie robiono sobie żadnych ceremonij: niektórzy z głosujących kładli po kilka gałek, jeden z członków li-

*) Szczegóły te, chociaż ogłoszone w innych pismach, wymagają ścisłego sprawdzenia. *Red.*

czył głosy, jak chciał, jeśli zaś kto robił mu uwagę, przewodniczący zebrania kazał być cicho i zachęcająco wołał: „nie bój się, panie Stanisławie, rób, co chcesz!“ Oburzeni włościanie i niektóry księża opuścili pole tej dziwnej elekcyi i napisali protest, w którym wykazują najrozmaitsze nadużycia zarządu. Nieprawdaż, ciekawa ilustracya do rozpraw nad wpływem inteligencyi na lud! Skarżymy się ciągle, że wszelkie drogi do działania w tym kierunku są nam zamknięte, a jeżeli znajdzie się jaka furtka, to natychmiast zarzucamy ją wszelakiem plugastwem.

Z nastaniem ciepłej pory obudziło się do życia i obumarłe przed rokiem *Echo łomżyńskie*. Z niekłamanym żalem patrzyliśmy na upadek najlepszego z naszych pism prowincyonalnych, nie możemy jednak z równą radością powitać jego odrodzenia. Redakcya *Echa* uległa zmianie i nowa wypowiada swój program. Hasłem jej jest połączenie liberalizmu z... konserwatyzmem motywowane, nieszczególnie: „tradycya praw jako idea uogólniona, tudzież rozwój możliwy w zakresie wymagań chwili.“ O jakże to przypomina zapewnienia pism warszawskich, z których każde prawie przyznaje się do postępu, tylko jedno krzewi postęp uczciwy, drugie — istotny, trzecie — prawdziwy, czwarte — zdrowy itp.

Redakcya sama wątpi, czy daleko zajdzie z tym programem bez wyraźniejszego zabarwienia; obiecuje więc abonentom, że jej „barwa, jak i uzupełnienie programu zależeć będą od związania się współką pisma z uspołecznieniem tej okolicy, obsługiwanie której stawia za cel główny dla *Echa*...“ Jest to więc, jak widzimy, program kramarski. Jeśli ktoś nie życzy sobie przekonań liberalnych, sklep mu da zachowawcze w bardzo dobrym gatunku! Ponieważ pisma prowincyonalne są tylko małymi sklepikami, w których trzymać wielkich zasobów nie można, kupczą więc towarem, który od biedy i za liberalny i za konserwatywny ujść może. Stąd płynie ich bezbarwność albo krzycząca niezgodność artykułów, dziwna kakofonia, w której obok ćwierkania nieopierzonych jeszcze piskląt radykalizmu huczy zachowawczy tołumbas nieoceniónego p. Niemojowskiego. Nie może tu służyć za wymówkę, że zadaniem organów prowincyonalnych jest przeważnie dostarczanie materyału faktycznego; bo chociażby nawet przestały na tak skromnej roli, muszą podawać fakty w pewnem oświetleniu— inaczej pożytek z tych wiadomości będzie żaden.

W owym programowym numerze *Echa* spotykamy wiadomość o przesiedlaniu się kurpiów na Wołyń. Mieszkańcy myszynieckiej puszczy, lud to najbardziej może zadomowiony, jednakże i ich brak ziemi zmusił do odległych wędrówek. W zeszłym roku zjawił się stręczyciel i zaczął werbować kolonistów; ci zmówiwszy się, wysłali „na wywiady“ swego towarzysza, który obejrzał ziemię i znalazł ją odpowiednią. Sprzedawszy więc swoje grunty po 100 rs. za morg, ruszyli kurpie w drogę. Na Wołyniu dają zaledwie po 300 rs, za włókę dobrej, chociaż w znacznej części zarosłej lasem ziemi i to na nadzwyczaj dogodnych warunkach, z rozpłatą pięcioletnią. Ale pewności żadnej nie mają, żadnego kontraktu na piśmie: jadą na słowo i bodajby nie padli ofiarą; bo chociaż rzadko, ale zdarzają się niesumienni obywatele, którzy kolonistów oszukują. Emigracya w strony zabużne korzystną jest nadzwyczaj dla przesiedleńców, powinna być jednak choć trochę uregulowaną. Stręczyciele wyzyskują nieraz łatwowiernych, nikt nie zna odpowiednich przepisów prawa i nawet w pismach spotykałem wzmianki, że włościanie polacy nie mają prawa nabywać ziemi w kraju zachodnim. Tymczasem rzecz się ma trochę inaczej. Chłopi mają prawo nabywać grunty, muszą jednak poprzednio przesiedlić się i pewien czas przemieszkać na miejscu. Emigracya więc, chociaż obstawiona formalnościami, jest zupełnie możliwą.

W Humaniu istnieje progimnazym; obecnie obywatele miejscowi i okoliczni postanowili zamienić je na pełne gimnazyum. W tym celu zebrano składki i postanowiono nałożyć na każdy dom w mieście 10 rs. podatku. Uchwała może by przeszła, ale sprzeciwił się temu miejscowy proboszcz z obawy płacenia 20 rs. od dwóch domów kościelnych i rozpoczął agitacyę, która zakończyła się zupełnym jego tryumfem. Postanowienie nie przeszło tylko większością kilku głosów: księdza proboszcza, organisty i zakrystyana, figurujących jako właścicieli domów.

Są jeszcze ludzie, którzy na wiarę bezwzględnych chwalców przeszłości utrzymują, że nigdy u nas inkwizycyi i tortur nie było. Może to i prawda, ale ponieważ nie jesteśmy narodem wybranym i nic ludzkiego nie jest nam obcem, więc pozbawieni w przeszłości tych objawów zwierzęcego okrucieństwa staramy się je chociaż dzisiaj u siebie zaaklimatyzować. W Łodzi, jak donosi miejscowy *Dziennik*, w mieszkaniu pewnego pedagoga, utrzymującego uczniów na stancyi, znaleziono ławkę z rzemiennymi paskami i inne przyrządy do pastwienia się nad dziećmi. Ciała tych maleńkich biedaków pokryte były strupami i sińcami, świadczącymi o barbarzyńskiem znęcaniu się nauczyciela. Pomysłowy ten zbrodniarz wynalazł nawet nowe, nieznane dotąd narzędzia tortur. Natychmiast z rozporządzenia władzy uczniów przeniesiono na inną stancyę a nauczyciela uwięziono. Rzecz działa się w Łodzi—zapewne więc moraliści z *Roli* zrobią potwora tego niemcem. O! gdyby nim był, doprawdy puściłbym go wolno, przez wdzięczność, że nam bitym oszczędził przynajmniej wstydu być katami. Ale swojskie tradycye boćkowskiego bizuna, niestety, nie pozwalają mi żywić tej nadziei.

Nil.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 czerwca.

Konferencya w sprawie egipskiej zwołaną została na 23 czerwca; po niejakich wahaniach Turcya zgodziła się w niej wziąść udział. Francya poprzednio zawarła z Anglią tajemny układ; ta ostatnia ograniczyła zamierzoną pięcioletnią okupacyę Egiptu do dwu lat i przyjęła w zasadzie myśl kontroli międzynarodowej nad jego finansami. Wynikiem konferencyi będzie prawdopodobnie współdziałanie wojsk tureckich z angielskimi, i to wkrótce już, bo położenie rzeczy w Sudanie staje się coraz gorszem. Mahdi wzrasta w sile a najświeższe telegramy o zdobyciu Berberu świadczą, że zbliża się już do granic właściwego Egiptu.

Francuska Izba deputowanych wybrała już komisyę do rozpatrzenia wniosku gabinetu w sprawie rewizyi konstytucyi; z 22 jej członków 17 jest zwolennikami projektu rządowego. Radykaliści spodziewają się jednak, że w kongresie zdołają przeprowadzić rewizyę innych artykułów konstytucyi; sądząc wszakże z powyżej podanego rezultatu wyborów nadzieja ich nie ma widoków powodzenia. Mogą się za to pocieszyć, że nowe prawo o zaciągu wojskowym urzeczywistnia ulubioną ich myśl trzyletniej służby i zgodnie z demokratycznym charakterem rządu republikańskiego nie dopuszcza żadnych wyłączeń dla klas uprzywilejowanych. Nawet nauka nie uwalnia od noszenia karabinu. Może to i zupełnie sprawiedliwe, że każdy w równej mierze przyczyniać się powinien do niesienia obowiązków obywatelskich, ale czy takie poświęcenie inteligencyi na ofiarę militaryzmowi okaże się dla pomyślności kraju korzystnem — wolno chyba wątpić.

W d. 30 maja senat przyjął ustawę o rozwodach, uchwaloną poprzednio przez Izbę deputowanych, unieważniającą prawo z r. 1816, które wyrzekło zniesienie rozwodów, to jest przywróciło moc obowiązującą prawu z 1792 r., które rozwody we Francyi wprowadziło. Prawo z 1816 r., uchwalone podczas największej reakcyi, przetrwało wszystkie rządy i usiłowania jego przeciwników pozostawały bezskutecznemi. Nawet już za trzeciej rzeczypospolitej senat odrzucił raz ustawę o rozwodach i dopiero teraz udało się pozyskać dla niej nadspodziewaną większość.

W zeszły piątek wieczorem w zachodniej części Londynu nastąpiły cztery wybuchy dynamitowe, najsilniejszy z nich przed gmachem głównego zarządu policyi. Domy zostały silnie uszkodzone a odłamki i gruzy raniły kilkanaście osób. W zamieszaniu sprawcy zdołali zbiedz; policya, ochłonąwszy z przestrachu, wzięła się do poszukiwań i znalazła 17 nabojów dynamitowych przed posągiem Nelsona. Pomnik ten ocalał dlatego tylko, że podłożony lont zgasł. Wybuch jest bez zaprzeczenia jednym z objawów strasznej zemsty ciemiężonego ludu irlandzkiego.

W ostatnich dniach maja dekretem cesarskim rozwiązano zostały wszystkie te sejmy w krajach przedlitawskich, które posiadały dotąd większość centralistyczną, a więc w Austryi dolnej i górnej, Salzburgu, Styryi, Karyntyi, Morawii, Szląsku i na Bukowinie. Nowe wybory odbędą się w pierwszych dniach lipca, ale w krajach tych centraliści są bardzo silni i chyba tylko na Szląsku rezultat wyborów przedstawiać może pewne wątpliwości. Świeżo właśnie zawiązane w Cieszynie towarzystwo polityczne polskie, złożone przeważnie z ewangelików, powinno dołożyć wszelkich starań, ażeby w polskiej części kraju kandydaci narodowi zostali wybrany, co z łatwością mogłoby nastąpić, gdyby nie waśnie religijne, dzielące i ten słaby odłamek polskiego ludu.

Wiedeń. Śledztwo wykazało, że plan zamordowania bankiera Eiserta ułożony został w Peszcie a dokonali go uwięzieni anarchiści Kamerer i Stelmacher.

CUDZE GŁOSY.

Antysemityzm urzędowy. *Nowoje Wremia* przytacza, że w okręgu naukowym odeskim na 3,580 uczniów gimnazyów chrześcian wypada 1,640 żydów i cytuje zdanie kuratora okręgu p. Ławrowskiego (b. rektora uniwersytetu warszawskiego):

„Przepełnienie żydostwem zakładów naukowych średnich bardzo zgubny wpływ wywiera na obyczaje kolegów chrześciańskich wyznań. W uczących się żydach zawsze spotykałem i spotykam nieprzezwyciężony mur, wzniesiony z uparcie zakorzenionych pojęć, przyzwyczajeń i obyczajów nietylko dalekich od powszechnie przyjętych zasad i warunków życia chrześciańskiego, od prawidłowego, dobrego koleżeństwa, stosunku do zwierzchności i obowiązków życia szkolnego, ale składających się zarazem na całość tak moralnie przewrotną, tak straszliwie zaciętą i uporną trwającą w złem, że z mimowolnem przerażeniem spoglądam na dzieci chrześciańskie, zmuszone przebywać w tem otoczeniu... Kłamstwo i oszustwo jest naturalnym pierwiastkiem każdej odpowiedzi ucznia żyda na zadane mu pytanie; uczniowie żydowscy przy sposobności kradną rzeczy, w dziennikach i cenzurach podskrobują stopnie, składają fałszowane świadectwa itp. wywołując nieustanne śledztwa.

Znajdywaliśmy w domach podejrzanych 12 i 14 letnich wyrostków żydowskich, uczniów klasy 1 i 2... I najdzielniejsza energia nic poradzić z tem wszystkiem nie może. Co się zaś tyczy strony religijnej tego stosunku, niechaj starczy fakt, że niepodobna zawiesić w szkole obrazów z Historyi Świętej, bo zaraz żydzi pstrzą je niecnemi podpisami."

Pierwszy to chyba przykład urzędowego głosu tej treści.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu został otwarty; z Warszawy przybyło bardzo mało osób, natomiast przyjechało wielu czechów. Na prezydującego wybrany został dr. Szokalski.

Projekt wprowadzenia egzaminów państwowych odroczony został na czas nieokreślony.

Ogród zoologiczny urządzony będzie w miejscowości zwanej Bagatela, przez spółkę, której reprezentantem jest p. J. M. Kamiński. Otwarcie ogrodu nastąpi już wkrótce. Kapitał zakładowy oznaczono na 60,000 rs. Czyż to starczy?

Egzamina. Kandydaci na nowe posady w administracyi dróg żelaznych i urzędnicy otrzymujący awans, na mocy rozporządzenia inspektora dróg żelaznych składać winni egzamin z języka rosyjskiego.

Wyrok. Izba sądowa warszawska w sprawie o nadużycia przy poborze do wojska skazała naczelnika powiatu władysławowskiego w gub. suwalskiej Trabszę i naczelnika straży ziemskiej Żdanowa na pozbawienie praw i przywilejów i zesłanie do gubernii permskiej.

Prasa polska. P. Aleksander Makowiecki otrzymał zezwolenie głównego zarządu prasy na wznowienie *Gazety przemysłowo-rzemieślniczej* z rozszerzonym nieco programem.

Reforma. W Instytucie komunikacyi w Petersburgu od nowego roku szkolnego wprowadzone będą zmiany. Kurs nauk ma być czteroletni a natomiast po ukończeniu studenci przez 15 miesięcy będą odbywali praktyczne studya, poczem dopiero przystąpić mogą do egzaminów.

Katedry języków sławiańskich zaprowadzone zostały w uniwersytetach szwedzkich.

— W Bolonii, oprócz wykładów języka polskiego i chorwackiego, otworzono katedrę literatury czeskiej.

Obrona prawna. W Poznaniu zawiązany został komitet obrony prawnej (Rechtsschützverein) w celu dochodzenia wszelkich krzywd, jakich obywatele polscy doznają przez ukrócenie swych praw politycznych, religijnych i narodowościowych. Członkiem może być każdy poddany pruski polskiej narodowości, będący w posiadaniu pełnych praw obywatelstwa. Dyrekcya wybrana z pośród członków powinna użyć wszelkich środków, żeby doznaną krzywdę członka związku naprawić a w razie potrzeby zebrany materyał przedstawić Kołu polskiemu w parlamencie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Zg. w Kl. 1) Źródła *współczesnego*, któreby zawierało całkowity życiorys, niema. Z pomniejszych opracowań najlepsze są dotąd Renana (fr.) i Straussa (niem.); 2) H. Taine'a *Philosophie de l'art;* 3) dla Poznańskiego—nie znamy, dla Galicyi—istnieje wiele broszur specyalnych (Wrotnowski *Przemysł fabryczny*, Putowski *Prze...* ...), nadto T. Pilat wydaje *Wiadomości statystyczne*, *Ateneum* i *Niwa* pomieściły kilka artykułów tej treści; 4) niestety, Dubrowskiego.

Studentowi medykowi. Wiemy o tej strasznej i niszczącej plagie śród młodzieży gimnazyalnej. Propozycyę pańską zakomunikujemy Spółce Nakładowej.

W. R. Jaki jest rezultat konkursu Kretkowskiego, nie wiemy. Mechanika analityczna Kirchoffa. Oryginał Ekonomii kosztuje rs. 18. Książka dla uczczenia zasług Frączkiewicza nie wyjdzie.

A. W. R. Dubrowskiego i Małeckiego. Do każdej księgarni, np. do Wendego.

Leonowi Ł. w R. W. Wścieklica nie jest pseudonymem, lecz nazwiskiem.

W. D. Dragomirow wydał łacińskiemi czcionkami p. t. *Marija matу Jezusowa.*

Powołani zapisem z d. 1 maja b. r. arbitrowie Ignacy Baranowski, Józef Kościelski, Henryk Krajewski, Aleksander Oskierko i Kazimierz Zalewski do rozpoznania sporu zachodzącego pomiędzy Erazmem Piltzem i Aleksandrem Swiętochowskim w kwestyach dotyczących honoru—po wysłuchaniu wyjaśnień stron, po przejrzeniu pism przez też strony złożonych, oraz po wysłuchaniu powołanych przez nie osób dwudziestu sześciu do wyjaśnienia prawdy, na posiedzeniach z dnia 4, 8, 10, 11, 14, 15 i 17 maja, tudzież po odbyciu ze stronami narady w celu zgodnego sprawy załatwienia, orzekli co następuje: Biorąc na uwagę, 1) że p. Świętochowski w nrze 41 *Prawdy* z r. 1883 uczynił p. Piltzowi zarzut krzywdzący, opierając takowy na podstawie pism i wyjaśnień, udzielonych mu przez osoby trzecie; 2) że dowody przedstawione arbitrom przez p. Piltza przekonały, iż p. Piltz zarzuconej mu przez p. Świętochowskiego winy wcale nie popełnił, a tem samem zarzut rzeczony poczytać należy za nieuzasadniony; 3) że po usunięciu zarzutu głównego, niewłaściwości, które postępowaniu p. Piltza zarzucać można, odnoszące się do dawniejszych lat jego życia, a dotyczące zwyczajnych stosunków cywilnych, tłomaczą się: bądź delikatnością względem osób trzecich, bądź brakiem doświadczenia życiowego i nierozwagą młodości, lecz nie cechują jego przeszłości piętnem niehonorowego i nieuczciwego postępowania; 4) że p. Świętochowski, działając na zasadzie dokumentów i zeznań osób trzecich, co do wiarogodności niezakwestyonowanych, lecz ostatecznie niesprawdzonych, lubo nie miał prawa czynienia p. Piltzowi publicznie krzywdzącego zarzutu, miał przecież w swojem przekonaniu dostateczny powód do niekorzystnej o p. Piltzu opinii, tem bardziej, że p. Piltz faktów, stawiających jego postępowanie w niekorzystnem świetle, w swoim czasie nie wyjaśnił i takowe dopiero przed arbitrami odparte zostały—p. Świętochowski zaś, stawiając rzeczony zarzut działał bez złego zamiaru, w dobrej wierze i w polemicznem uniesieniu. W tym stanie rzeczy komplet arbitrów: 1) Zarzut uczyniony p. Piltzowi w nrze 41 *Prawdy* 1883 r. za nieuzasadniony poczytuje, a także p. Piltza od zarzutu niehonorowego postępowania wolnym uznaje; 2) uznaje, że p. Świętochowski, występując z zarzutem wyżej wymienionym, działał w dobrej wierze i z pobudek okolicznościami usprawiedliwionych; 3) w następstwie tego, obustronne zarzuty przez strony wzajemnie sobie poczynione uznaje za niebyłe i niemające nadal znaczenia, a tem samem nietamujące stronom możności do użytecznej dla społeczeństwa pracy. Niniejsze orzeczenie, stosownie do zobowiązania stron, stanowczo i ostatecznie rozstrzyga spór powyższy i takowy na żadnej innej drodze wznowionym być nie może. Orzeczenie to ma być bezzwłocznie wydrukowane w *Prawdzie* i w *Kraju*, o ile bądź arbitrowie, bądź strony, za wspólną zgodą, inaczej nie postanowią. — Warszawa d. 24 maja 1884 r. Podpisano: Dr. Ignacy Baranowski, Józef Kościelski, Henryk Krajewski, Aleksander Oskierko, Kazimierz Zalewski.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Мая 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.